

SELMA LAGERLÖF.



Gösta Berling

ze szwedzkiego przełożyła

JOZEFA KLEMENSIEWICZOWA.

TOM II.

WARSZAWA
DRUK JÓZEFA SIKORSKIEGO, WARECKA 14.
1906

Wyp. 02

MŁODA HRABINA.

Młoda hrabina sypia do dziesiątej zrana i domaga się na śniadanie codziennie świeżego pieczywa. Umie ona pięknie haftować i przepada za wierszami. Na gotowaniu i tkactwie nie rozumie się zgoła, bo młoda hrabina jest dzieckiem pieśczone.

Ale wesola jest, a ta jej wesołość rozlewa się na wszystko. Wybaczą jej więc chętnie późne wstawanie i świeże pieczywo, bo jest przytem rozrzućną w świadczeniu dobrodziejstw i uprzejmą dla wszystkich.

Ojciec młodej hrabiny był szwedzkim szlachcicem, który całe życie spędził we Włoszech, gdzie jedna z pięknych cór tamtejszej ziemi zabrała mu serce. Kiedy hrabia Henryk Dohna zjawił się we Włoszech, przyjęto go gościnnie w domu szlachcica, poznał się z córkami domu i w końcu jedną z nich przywiózł z sobą do Szwecji jako żonę. Ona, która zawsze po szwedzku mówiła i tak była wychowaną, że lubiła wszystko, co szwedzkie, znalazła się w tym



125661/2

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0267024

P K-60/81 125661

dzikim kraju, jak wśród swoich. Tak ochoczo tańczy, tak chętnie bierze udział we wszystkich zabawach, które urządzają wzdłuż jeziora, że zdawaby się mogło, iż z dawien dawna tu żyła. Jednego tylko: nie potrafi być hrabiną. Nic w tej kobiecie nie ma sztywności, godności, umiejącej się zniżać.

Zwłaszcza starsi panowie zachwycali się młodą hrabiną; była u nich w szczególniejszych łaskach. teżeli się z nią spotkali, można było być pewnym, że wszyscy, zarówno sędzia z Munkerud, jak proboszcz z Bro i Melchior Sinclair i kapitan z Borgi, swoim żonom na ucho mówili, iż gdyby byli młodą hrabinę spotkali przed trzydziestu, czterdziestu laty... Jo...

— Tak, tak, ale wtedy jej nie było jeszcze na świecie — odpowiadały panie. I najbliższym razem żartowały sobie z młodej hrubiny, że im bałamuci mężów.

Starsze panie spoglądają na nią z pewnym niepokojem. Przychodzi im na myśl hrabina Marta. Ona była również wesola, dobra, kochana, kiedy przybyła do Borgu, a zmieniła się w próżną, żądną użyciu zalotnicę, która teraz o niczem innem nie myśli, jak byle się zabawić jaknajlepiej.

— Ach, gdyby ona miała męża, któryby ją mógł zachęcić do pracy! — wzdychały. — Żeby się na tkactwie rozumiała naprzykład. To jest pociechą na wszystkie zmartwienia, to myśl pochłania i niejednokrotnie staje się deską ratunku.

Młoda hrabina pragnie bardzo być dobrą gospodynią. Nie wyobraża sobie nic piękniejszego, jak być szczęśliwą małżonką w miłym ognisku domo-

wem; na dużych zebraniach przysiadła się często do pań starszych.

— Henryk chciałby, żebym była dobrą gospodynią, jak matka jego — mówi. — Nauczcie mnie tkactwa!

Tedy wzdychają starsuszki po dwakroć: raz nad hrabią Henrykiem, który może wierzyć, że matka jego jest dobrą gospodynią, a drugi raz nad trudnością, jaką przedstawia wtajemniczenie tej młodej, niedoświadczonej kobietki w takie zawile sprawy. Gdy zaczęto jej wymieniać techniczne wyrazy i poszczególne części warsztatu, zaczynało się jej wszystko macić w głowie, cóż by było, gdyby się doszło do bliższych szczegółów!

Nikt, widząc młodą hrabinę, nie może zrozumieć, jak mogła wyjść za głupiego Henryka Dohna.

Biedni ci głupcy! Biedni gdziekolwiek żyją — ale najgorzej głupcom, żyjącym w Wermlandzie.

Dużo krążyło opowieści o głupocie hrabiego Henryka, a przecież był to dopiero początek. Opowiadano sobie, jak swojego czasu zabawiał Annę Stjärnhök na jakims kuligu.

— Jesteś piękną, Anno — powiedział.

— At, głupstwo, Henryku!

— Jesteś najpiękniejszą w całym Wermlandzie!

— Nie, nie jestem nią,

— Ale najładniejszą tu, na tym kuligu jesteś.

— Nie, Henryku i tu także nie jestem.

— Dobrze, ale najpiękniejszą na tych saniach to przecież jesteś, temu chyba nie zaprzeczysz!

Rzeczywiście nie mogła, bo hrabia Henryk piękny nie jest, przeciwnie, jest równie brzydki, jak głupi. Mówiono o nim, że głowa, którą obecnie nosi na karku, była dziedziczną w rodzinie od kilkuset lat, dlatego mózg ostatniego dziedzica jest taki wyczerpany.

Głowa jego służyła już ojcu i dziadowi, bo dla czegożby innego włosy jego były takie rzadkie, broda tak skąpa, a wargi takie bezkrwiste? — mawiano.

Zawsze otaczają go kpiarze, wyciągający go na głupstwa, które potem puszczają w obieg w poprawnym wydaniu. Prawdziwem szczęściem dla niego, że sam się na tem nie poznaje; on jest zawsze majestatyczny, zachowuje się z godnością, to też nie może sobie wyobrazić, iż ktoś może być innym. Godność przeszła mu w krew, porusza się miarowo, kroczy sztywno, nie odwraca głowy, aby się całe ciało razem nie obracało.

Ale młoda hrabina kocha go pomimo jego głowy starca. Nie przeczuwała przecież, widząc go w Rzymie, że w ojczyźnie unosi się nad nim taka aureola głupoty! Tam było w nim coś z blasku młodzieńczego, a przytem zaręczyli się wśród dziwnie romantycznych okoliczności. Trzeba było słyszeć młodą hrabinę opowiadającą, jak to on ją porwał! Książę i kardynałowie byli oburzeni, iż chciała porzucić religię matki i przejść na protestantyzm. Wzburzony tłum otoczył pałac jej ojca. Na Henryka czatowali zbóje, matka i siostry błagały ją, by zerwała. Ojciec jednak nie posiadał się z gniewu, że ta hołota włoska chce mu rozkazywać, komu dać

własną córkę! I kazał hrabiemu Henrykowi ją wykraść. Skoro tedy ślub ich w żaden sposób nie mógł się odbyć w domu, przemknęli się cichaczem z Henrykiem tylnymi uliczkami do szwedzkiego konsulatu. A kiedy tam wyrzekła się swojej katolickiej wiary i przyjęła protestantyzm, dano im ślub i wysłano na północ w zamkniętym powozie, zaprzęonym w parę ognistych rumaków.

— Na zapowiedzi nie było czasu, jak widziacie — zwykła kończyć młoda hrabina, — niemilo też było ślub brać w biurze, zamiast w którymś z naszych pięknych kościołów — ale inaczej nie byłby mnie przecież dostał Henryk. Tam są wszyscy tacy krewcy, zarówno tatko jak mama i kardynałowie i książęa wszyscy tak łatwo się gniewają. Dlatego musiało się to wszystko odbyć tak tajemniczo, bo gdyby ludzie byli nas ujrzeli przemykających się, byłiby nas oboje zabili, aby tylko uratować mą duszę — Henryka przecież uważali za wyklętego

Młoda hrabina kochała swego męża i w spokojnych czasach, kiedy zjechali do ojczyzny, do Burgu. Kochała w nim blask starożytnego nazwiska i dawnych przodków. Miło jej było widzieć, jak słodczy jej łagodzi jego sztywność, słyszeć głos jego miękący, gdy z nią rozmawiał. A przytem on ją kochał, pieścił — no i wreszcie przecież była jego żoną. Młoda hrabina nie może sobie wyobrazić, jakby to mogło być inaczej: zameżna kobieta musi kochać swego męża.

Pod pewnym względem odpowiada on też jej ideałowi mężczyzny: jest szlachetny, prawdomówny, nigdy nie złamał danego słowa — prawdziwy szlachcic.

Ósmego marca obchodzi sędzia Szarling dzień swoich urodzin — roi się wtedy od gości wzgórce Broby. Dążą ze wschodu i zachodu, znajomi i nieznajomi, proszeni i nieproszeni! A wszyscy są jednakowo mile widziani. Jedzenia i picia starczy dla wszystkich, a w sali jest miejsca na tancerzy ze wszystkich siedmiu gmin.

Młoda hrabina też się wybrała. Stawia się ona wszędzie, gdzie może się spodziewać tańca i zabawy. Ale nie jest wesola, jak zwykle, jak gdyby miała jakieś złe przeczucie.

Jadąc, przypatrywała się zachodowi słońca. Zapadało ono na niebie, zostawiając po sobie małe, złote pasma lekkich obłoczków. Błado-szary zmierzch z zimnemi, ostremi podmuchami spadł na okolicę. Młoda hrabina patrzyła, jak dzień walczył z nocą i jak wszystko, co żyło, opanował lęk i strach przed tą potężną walką. Konie pędziły z ostatnią furą, aby się jaknajprędzej znaleźć pod dachem. Rębacze śpieszyli z lasu do domu, dziewczęta opuszczały zabudowania gospodarskie. W gęstwie leśnej były zwierzęta. Dzień, radość i wesele ludzi, został pokonany.

Piękne barwy znikły, światło zagasło: zimno i brzydko, gdzie oko zwróciła. I wszystko, czego się spodziewała, co kochała i co działała, wszystko przed okiem jej duszy przystonilo się szarością zmierzchu. Jak na całą przyrodę, przyszła i na nią godzina znużenia, upadku, niemocy. Przyszło jej na myśl, że jej własne serce, które obecnie życie purpurą i złotem zdobi, kiedyś może straci moc ożywczą.

— Ach niemocy, niemocy mojego własnego serca! — westchnęła. — Ty dusząco szara godzino zmierzchu, kiedyś zapanujesz też i nad moją duszą! Wtedy życie wyda mi się szkaradnem i bezbarwnem jakim nie jest, wtedy moje włosy posiwieją, grzbiet się pochyli, mózg osłabnie.

W tejże chwili sanie skrzyły na podwórze, a gdy młoda hrabina podniosła oczy, padły one na zakratowane okna w bocznym budynku, a za szybą dojrzała twarz z parą złością nabrzmiałych oczu.

Twarz to była majorowej z Ekeby — Młoda kobieta czuła, że dziś wieczorem nie odzyska wesołości, bo można być wesolym, gdy się nie widzi smutku, lecz słyszy się tylko o nim, jak o czemś dalekiem; trudniej jest zachować w duszy wesele, gdy się zetknie twarzą w twarz z nieszczęściem.

Hrabina wiedziała, że majorową uwięziono i oskarżano o gwałt, którego się dopuściła owej nocy na balu na Ekeby. Ale nie myślała, że zamknięto ją we dworze sędziego tuż obok sali balowej, z kądem będzie można zaglądać do jej pokoju tak blisko leżącego, że mogła słyszeć muzykę i gwar wesoły. A myśl o niej głuzy jej radość.

Hrabina tańczy wprawdzie wale i kadryle, płasa w menuecie i anglezie, ale między jednym tańcem a drugim musi podejść do okna i spojrzeć w boczne skrzydło budynku. W pokoju majorowej się świeci, widzi ją przechadzającą się. Zdaje się, jakby nigdy nie miała spocząć, lecz musiała chodzić wciąż, bez odpoczynku. A każdym razem, po każdej takiej przerwie ciężej wlokły się w tańcu nogi hrabiny, a śmiech dławił ją w gardle.

Żona sędziego widziała ją ścierającą rosę z szyb, aby lepiej widzieć i podeszła ku niej.

— Ach jakie nieszczęście! jakie nieszczęście! — szepnęła.

— Nie mogę wprost tańczyć dziś — odpowiada jej hrabina także szepem.

— Nie moja w tem wina, że wydajemy bal, gdy ona tam siedzi — mówi pani Szarling. — Przez cały czas bawiła w Karlstadzie, ale teraz mają sądzić jej sprawę i przysłano ją tu dziś. Nie mogliśmy ścierpieć, aby siedziała w nędznej celi więziennej, umieściliśmy ją więc w izbie tkackiej. Byłaby zajęła mój pokój, gdyby ci wszyscy ludzie nie byli się dziś zjechali. Pani hrabina ją zaledwie знаła, ale dla nas wszystkich była ona jednocześnie matką i królową. Co ona myśli o nas, którzy tu tańczymy, gdy ona znajduje się w takiej niedoli? Szczyściem, przeważna część gości ani przypuszcza, że tam siedzi.

— Jej nie powinno się było zamykać — mówi hrabina surowo.

— Rzeczywiście, święte słowa, ale nie mogło być inaczej, skoro się ją chciało ocalić od większego nieszczęścia. Nikt nie mógł jej zabronić podpalić swojej własnej słomy i wypędzić rezydentów, ale major urządził na nią oblławę. Bóg wie, co onby gotów był zrobić, gdyby się jej nie było zamknęło. Szarling dużo miał nieprzyjemności z tego powodu. Nawet w Karlstadzie niezadowoleni byli, że nie przymknął oczu na to, co się stało na Ekeby. Ale działał w najlepszej myśli.

— Teraz ją zapewne skażą? — zapytała hrabina.

— Ależ nie, bynajmniej, majorową z Ekeby uwolnią, ale to, co przez te dni wycierpiała, było już na nią zawiele. Pomyśl pani tylko, taka dumna kobieta. traktowana jak zbrodniarka! Może być, iż lepiej było puścić ją wolno, byłaby może zdoląła uciec.

— Pozwól jej pani ujść teraz.

— Mógłby to uczynić ktokolwiekbądź, ale właśnie nie żona sędziego — szepce pani Szarling. — My musimy jej przecież pilnować, zwłaszcza tej nocy, gdy tyłu jej przyjaciół u nas bawi; dlatego też dwóch ludzi trzyma straż u jej drzwi zamkniętych i zaryglowanych, tak, że nikt wejść nie może. Gdyby jej ktoś chciał jednak ułatwić ucieczkę, cieszyłoby to zarówno mnie, jak męża.

— Czy nie mogłabym przynajmniej pójść do niej?

Pani Szarling chwyciła ją żywo za rękę i pościągnęła za sobą. W sieni okryły się szalami i pobiegły przez podwórze.

— Bardzo być może, że nawet nie będzie chciała mówić z nami — powiada pani Szarling — ale niechaj przynajmniej się przekona, żeśmy o niej nie zapomniali.

Przeszły przez pierwszy pokój, gdzie siedzieli dwaj mężczyźni, strzegący jej drzwi i bez przeszkody dostały się do majorowej. Zamknięto ją w obszernej izbie, gdzie znajdowały się krosna i inne podobne przyrządy. Była to izba tkacka, w potrzebie

jednak używana jako więzienie, dlatego też okna miały żelazne kraty, a drzwi silne rygle.

Majorowa odbywała swoją wędrówkę, nie zwróciwszy na nie uwagi. Temi dniami czeka ją daleka droga. Nie może teraz o niczem innym myśleć, tylko o tem, że musi odbyć owe trzydzieści mil do matki, która głęboko w lasach mieszka i na nią czeka.

Niema więc czasu na odpoczynek. Musi iść. pilno jej — matka ma lat dziewięćdziesiąt, już nie długo jej życia.

Wymierzyła już długość izby na łokcie, teraz składa z łokci sążnie, a z sążni mile.

Ciężka, długa zda się jej droga, a przecież nie może spocząć. Brnie przez głębokie ławice śnieżne. Słyszy lasy szumiące w stronie, w którą dąży. Odpoczywa w kurnych chatach Finnów, w lepiankach węglarzy. Niekiedy, gdy w milowym kręgu nie natrafi na siedzibę ludzką, musi sobie nałamać gałęzi na legowisko i spać pod obaloną jodłą.

Nareszcie dotarła do celu, przebyła owe trzydzieści mil, las się przerzedza, czerwone zabudowania widać na zaśnieżonem podwórzu. Strumień pień się i huczy, tworząc szereg małych wodospadów — znany jej ten szum, wie, że już jest w domu.

A matka, widząc, iż przybyła jako żebraczka, jak sobie tego życzyła, wychodzi naprzeciw niej.

Dotarłszy myślą dotąd, majorowa odwraca głowę, ogląda się, widzi zamknięte drzwi — i wie już, gdzie przebywa.

Wtedy zadaje sobie pytanie, czy jest obłądaną blizką i siada znów, aby myśleć i odpoczywać. Po

chwili jednak znów chodzi, liczy łokcie, sążnie i mile, zatrzymuje się po chatach, nie sypia ani w dzień, ani w nocy, póki nie przejdzie owych mil trzydziestu.

Przez cały czas uwięzienia niemal wcale nie spała.

A obie kobiety, które przyszły ją odwiedzić, patrzą na nią z trwogą. Tej chwili młoda hrabina nie mogła nigdy zapomnieć. Widywała ją później często w snach swoich. Obudziła się z oczyma lez pełnemi i skargą na ustach.

Staruszka zmieniła się bardzo: włosy wygładają takie rzadkie, a luźne strzępy wymykają się z maleńkiego warkocza. Twarz zaostrzyła się i zapadła, suknie na niej nieporządne i podarte — mimo to pozostało w niej tyle z wielkiej damy, że nie budziła litości, ale cześć.

Najbardziej wbiły się jednak hrabinie w pamięć oczy — zapadłe, zwrócone do wnętrza, jeszcze niepozbawione światła rozumu, lecz blizkie tego, mające w sobie taką dzikość, czatującą w głębi, iż lęk zbierał, że staruszka już, już rzuci się, gotowa gryźć i drapać.

Stały tak już chwilę, gdy nagle majorowa zatrzymała się przed młodą hrabiną i spojrzała na nią surowo. Tamta cofnęła się i chwyciła ramię pani Szarling.

Rysy majorowej nabierają nagle życia i wyrazu, oczy jej znów patrzą przed siebie jasno.

— Ach nie, tak źle jeszcze nie jest, moja kochana, młoda pani — mówi z uśmiechem.

Zaprasza je, by usiadły i sama siada. Przy

biera pozę wielkopańską z czasow przyjęć na Ekeby i balów dworskich w pałacu namiestnikowskim w Karlstadzie. Zapominają o lachmanach i więzieniu, a widzą jedynie najdumniejszą, najbogatszą panią Wermlandu.

— Moja droga hrabino — mówi — co sprawiło, że pani opuściła salę balową i przybyła do mnie, samotnej kobiety? Zawiele dobroci.

Hrabina Elżbieta nie odpowiada, wzruszenie głos jej tamuje. Więc pani Szarling odpowiada za nią, że nie może tańczyć, nie daje jej bowiem spokoju myśl o majorowej.

— Kochana pani Szarling — czyż do tego doszło, że psuję młodzieży zabawę? — pyta majorowa. — Nie płacz nademną, kochana, młoda hrabino — ciągnie dalej — jestem niegodziwa, stara kobieta, która zasłużyła na swój los. Pani przecież nie sądzi, żeby godziwem było bić własną matkę.

— Nie, ale...

Majorowa przerywa jej, odgarniając jej z czoła jasne kędziory.

— Dziecko, dziecko, jakżeś ty mogła poślubić głupiego Henryka Dohna!

— Ależ ja go kocham!

— Rozumiem wszystko, wiem wszystko — mówi majorowa. — Dobrze dziecko i nic więcej, płacze ze smutnymi, śmieje się z wesołymi. Musi „tak“ powiedzieć pierwszemu, który przyszedł i powiedział: „kocham cię“ — Tak, tak to bywa! znam to. Niechże pani wróci i tańczy, moja droga hrabino. Tańcz pani i wesel się! W pani niema nic złego.

— Ale ja tak pragnę uczynić coś dla pani majorowej.

— Dziecko — odezwała się majorowa uroczystym głosem — mieszkała w Ekeby stara kobieta, która wiatry ujarzmiła. Teraz ona sama jest uwięziona, a wiatry są wolne. Czyż to tak dziwne, że burza przeciąga nad krajem?

— Ja stara, widziałam ją już, hrabino. Znam ją. Wiem, że Boży gniew na nas spadnie. Już to hućcie będzie nad wielkim państwem, to znów nad małemi, zapomnianemi. Spadnie na wielkich tego świata i na maluczkich. Wspaniała to rzecz widzieć zbliżający się gniew boski.

— Boży gniewie, ty błogosławiony wichrze, owion ziemie! Wy, głosy powietrza i wody, zabrzmiście, budząc postrach! Sprawcie, aby gniew Pański brzmiał potężnie, aby siał grozę! Niechaj burza hućczy nad krajem, niech się szamoce z chwiejącemi się ścianami, niech rozbija zardzewiałe zamki, niech obala zgnile domy!

— Groza niech się rozpostrze nad krajem. Małe gniazdka ptasie niechaj spadają z gałązek. Jastrzębie gniazdo z wierzchołka jodły niech spadnie na ziemię, a wiatru smoczy język niechaj świszcze aż po sowie gniazdo, wciśnięte w rozpadlinę skalną.

— Zdawało nam się, że u nas wszystko dobrze, a to nieprawda. Potrzeba nam oczyszczającej burzy. Rozumiem to i nie żalę się. Pragnę jedynie dostać się do domu, do matki!

Nagle osłabła.

— Idź już teraz, młoda kobieto — odezwała się



po chwili.—Nie mam już czasu. Muszę iść. Odejdź, a strzeż się tych, którzy spadną na skrzydłach burzy!

I rozpoczęła znów swoją wędrówkę. Rysy martwieją, wzrok zatapia się na wewnątrz.

Hrabina z panią Szarling widzą, że nie pozostaje im nic innego, jak odejść.

Skoro tylko weszły na salę balową, podeszła młoda hrabina prosto do Gösty Berlinga.

— Przynoszę panu pozdrowienie od majorowej — rzekła. — Spodziewa się, że ją pan uwolni z więzienia.

(— Może długo czekać, pani hrabino!

— Ach, ocal ją pan przecież, panie Berling! Gösta ponury wzrok wlepił przed siebie.

— Nie — odzywa się — dlaczegoż miałbym to czynić? Za co mam jej się odwdzięczać? Wszystko, co zrobiła, sprowadziło na mnie nieszczęście.

— Ależ panie...

— Gdyby nie ona — odparł gwałtownie — spałbym już teraz w odwiecznych lasach. Czyż obowiązany jestem życie za nią narażać za to, że mnie uczyniła rezydentem? Czy pani sądzi, pani hrabino, że to stanowisko bardzo zaszczytne?

Bez odpowiedzi odwróciła się młoda hrabina oburzona.

Przejęta goryczą z powodu niegodziwości rezydentów, wróciła na swoje miejsce. — Przybyli tu z wiolonczelami i skrzypcami, smyczkami przeciągają po strunach, póki nie pękną, nie myśląc o tem, że skoczne tony dochodzą do nędznej izdebki uwięzionej. Przyszli tu do upadłego tańczyć, nie pamiętając o tem, że dawna ich dobrodziejka dojrzy

ich cienie, przemykające się koło jej okien. Ach, jakież szare i brzydkie jest jednak życie! Ach, jakież cię rzuca na jej duszę niedola i okrucieństwo ludzkie!—duma młoda hrabina.

Po chwili zbliża się Gösta i prosi ją do tańca. Ona wręcz odmawia.

— Pani hrabina nie chce ze mną tańczyć? — pyta zaczerwieniony.

— Ani z panem, ani z żadnym z rezydentów — odpowiada.

— Czyż nie godni jesteśmy tego zaszczytu?

— To żaden zaszczyt, proszę pana. Ale nie znajduję przyjemności w tańczeniu z ludźmi, którzy tak zapominają o wszelkich względach wdzięczności.

Gösta nie dosłuchał końca.

Scena ta miała wielu świadków—wszyscy przyznali słuszność hrabinie. Niewdzięczność i okrucieństwo rezydentów względem majorowej wywołały powszechne oburzenie.

Ale w tych dniach jest Göstą Berling niebezpieczniejszy od dzikiego zwierzęcia. Od chwili, gdy wróciwszy z polowania, nie zastał Maryanny, serce jego było jedną otwartą raną. Wciąż miał ochotę wyrządzić komuś krwawą krzywdę, siać smutek i zmartwienie naokół.

— Skoro tak chce—mówi w duchu—niechajże więc ma. Ale nie będę jej oszczędzał. Hrabina przecież marzy o porwaniach, uprowadzeniach. Sprawię jej więc przyjemność. Awanturki, to mój gust. Tydzień żałoby po żonie—to wystarczy.

Przywoływa zatem Beerencroutza, pułkownika,

Chrystyana Berga, silacza i powolnego Krzysztofa i naradza się z nimi, jak ratować dotknięty honor rezydentów.

Nadszedł koniec zabawy. Długi szereg sań za jeżdża. Panowie wdziwiają futra, panie szukają swoich ciepłych okryć wśród rozpaczliwego zamieszania, panującego w garderobach.

Młodej hrabinie spieszo opuścić ten bal wstętny. Ona też jest pierwsza z pań gotowa. Uśmiechnięta stoi w pokoju i przypatruje się ogólnemu zamieszaniu, gdy nagle drzwi się otwarły i na progu stanął Gösta Berling.

Żadnemu mężczyźnie nie było wolno wchodzić do tego pokoju. Starsze panie, zdjawszy czepeczki, pokazują tu śmiało swoje lyse głowy, młode podjęły suknie wysoko pod futrami, aby się nie pomięły w saniach.

Nie zwracając uwagi na krzyki zaskoczonych kobiet, przyskakuje Gösta Berling do hrabiny i chwycił ją. Chwycił ją na ręce i wybiega z nią do sieni, a ztąd na schody.

Kobiety przerażone wybiegają za nim, widząc jak z hrabiną na ręku wskoczył do jakichś sanek. Posłyszały głos woźnicy, popędzającego konie, które też puściły się cwałem. Poznały woźnicę—to Beerencreutz: poznały konia—to „Don Juan.“ I głęboko stroskane o losy hrabiny, wzywają do pomocy panów.

Ci, nie tracąc czasu na wypytywanie, dopadają ją sań. Z hrabią na czele polują na rabusia kobiet.

Tymczasem on siedzi w sankach i trzyma hrabinę mocno. Zapomniał żalu, a porwany szaloną przyciskając, śpiewa pełnym głosem pieśni o miłości i o różach. Trzyma ją silnie, przyciskając do piersi—ona nie usiłuje uciekać. Jej twarz blada, kamienna, spoczywa na jego piersi.

Ach, cóż ma czynić mężczyzna, gdy blade, bezbronne oblicze znajdzie się tak blisko niego, gdy widzi odsunięte jasne włosy, które zwykle okalają promiennej bieli czoło i gdy powieki ciężko opadają na szare, filuterne zazwyczaj oczy? Całować, naturalnie, tylko całować blade usta, przymknięte oczy, białe czoło.

Wtem oprzytomniała młoda kobieta i odskoczyła elastycznie, jak sprężyna. Musiał z całej siły borykać się z nią, aby nie wyskoczyła z sań—wreszcie powiodło mu się pokonaną, ale drżącą usadowić w rogu.

— A więc, pani hrabina jest trzecią z rzędu porwaną przezemnie tej zimy — odezwał się Gösta spokojnym głosem do Beerencreutza. — Ale tamte zawisły mi na szyi i całowały mnie, ta zaś nie chce mnie całować i nie chciała ze mną tańczyć. Możesz ty pojąć te kobiety, stary?

A kiedy Gösta wyjechał ze dworu, kiedy kobiety wyprawiały krzyki, a mężczyźni kłękli, gdy dzwonki u sań dźwięczały a baty trzaskały, kiedy wszędzie panował hałas i zamęt, dziwne uczucie ogarnęło tych, którym strzedz polecono majorowej.

— Co się tam dzieje? co to za krzyki?—pytali się wzajemnie,

Nagle otwarto szeroko drzwi i głos jakiś zawołał: Porwano ją!.. Teraz ją uwożą!

Tamci wybiegli, jak szaleni, nie przekonawszy się, czy to majorowa, czy ktoś inny umknął.

Szczęście im sprzyjało—znalazło się nawet dla nich miejsce w saniach. Ujechali spory kawał drogi, zanim spostrzegli, kogo gonią.

Tymczasem Berg z Krzysztofem podeszli spokojnie pod drzwi, wyważyli je i otworzyli majorowej.

— Pani majorowa jest wolna—powiedzieli.

Wyszła. Stali sztywni jak posągi z obu stron drzwi, nie patrząc na nią.

— Na dole czekają sanie — dodali.

Zeszła ze schodów, wsiadła do sań i odjechała. Nikt jej nie gonił. Nikt też nie wiedział, dokąd podążyła.

Don Juan tymczasem zjeżdżał z pagórka Broby ku lodem ścieżemu jezioru. Hardy rumak pędził. Mroźne powietrze tnie ostro twarze jadących. Dzwonki brzęczą, gwiazdy i księżyc migocą, śnieg skrzy się i błyszczy niebiesko.

W Goście budzą się poetyczne myśli.

— Oto jest życie—mówi do towarzysza. — Jak Don Juan mknie z tą młodą damą, tak umyka czas wraz z ludźmi. Ty jesteś gorzką koniecznością, która kieruje, ja pożądaniem, które ujarzmią wolę. I w ten sposób bezsilny spadam coraz niżej.

— Nie gadalbyś tak dużo! — krzyknął Beerencreutz zły. — Doganiają nas. — I silnem uderzeniem bata popędza Don Juana do szalonej jazdy.

— Tamto wilki, a oto zdobyczl—woła Gösta.— Don Juanie wyobraź sobie, że jesteś młodym łosiem.

Skacz przez zarośla, brodź po trzęsawiskach, zeska-kuj ze skały w jasne jezioro, pływ przez nie z podniesioną głową i zniknij w zbawczym mroku ciemnego lasu jodłowego. Pędź, Don Juanie, stary uwo-dzicielu kobiet! Pędź, jak łódź młody!

Szalone jego serce wzbiera radością podczas tej błyskawicznej jazdy. Krzyki goniących są dla jego uszu okrzykami weselnymi. Jego zuchwałe serce raduje się, gdy spostrzegł, że powieki hrabiny drżą z przestachu, że zęby jej szczękają.

Nagle rozluźnia się żelazny uścisk, którym ją trzymał. Stojąc w saniach, wymachuje czapką i woła:

— Jestem Gösta Berling, pan tysiąca pocałun-ków i trzynastu tysięcy listów miłosnych! Hurra, niech żyje Gösta Berling! Niech go chwyta, kto po-trafi!

A za chwilę już szepce do ucha hrabiny: — Alboż nie wspaniała to jazda, nie kawalerska? Za jeziorem Löf leży jezioro Vennern, a za jeziorem Vennern leży morze. Wszędzie bezkresna przestrzeń kryształowego, granatowego lodu, a za tym znów świat cudny. Huczący grzmot pękającego lodu, wrzaskliwe krzyki za nami, gwiazdy, spadające w powietrze i dźwięk dzwonek przed nami. Naprzód, byle naprzód! Czy pani ma ochotę odbyć w mojem towarzystwie tę piękną podróż, pani hrabino?

Puścił ją a ona odpycha go jeszcze dalej.

Tuż potem leży u jej nóg na kolanach.

— Nędznik, nędznik ze mnie! Czemu mnie pa-ni hrabina rozdrażniała? Stała pani taka dumna i pewna, że dłoń rezydenta nigdy jej nie dotknie. Niebo i ziemia kochają panią — więc nie powinna

pani już kamienia dorzucać na tego, którym gardzą niebo i ziemia.

Ujmuje jej ręce i dotyka niemi swojej twarzy.

— Gdyby pani wiedziała, co to znaczy świadomość, że się jest wyrzutkiem. Wszystko wtedy człowiekowi jedno, co robi — zgola wszystko jedno.

W tej chwili spostrzegł, że hrabina ma gołe ręce. Wyciągnął natychmiast z kieszeni parę ogromnych, futrzanych rękawic i włożył jej. I nagle uspokoił się zupełnie. Usiadł jak najdalej od hrabiny.

— Niech się pani hrabina nie boi. Czyż pani nie widzi, dokąd jedziemy? Pojmie pani chyba, żeśmy nie chcieli wyrządzić jej krzywdy?

Dotąd była prawie nieprzytomna z przerażenia, ale teraz spostrzegła, że przejechali już jezioro, a obecnie Don Juan wspina się z trudem na stromy pagórek, na którym leży Borg. Zatrzymali konia przed drzwiami głównego budynku i odstawiają hrabinę do jej własnego domu.

Kiedy się zobaczyła w otoczeniu swojej służby, która wybiegła na jej przyjęcie, wróciła jej odwaga i przytomność umysłu.

— Weźcie w opiekę konia, Andersenie — mówi — panowie, którzy mnie odwieźli, zapewne będą łaskawi wejść do nas. Hrabia nadjedzie niebawem,

— Jak pani hrabina rozkaże — odrzekł Gösta, wysiadając z sań równocześnie. Beerencreatz bez namysłu rzucił lejce fernalowi. Młoda hrabina jednak idzie przodem i ze źle ukrywaną złośliwością wiedzie ich do sali.

Widocznie przypuszczała, że rezydenci będą się

wzdragali wejść i czekać na męża. — Nie wiedzą chyba, jaki surowy i sprawiedliwy on jest — pomyślała. Nie boją się więc kary, którą wymierzy im za to, że ją gwałtem porwali i zmusili jechać z sobą? — Tak pragnie słyszeć, jak będzie im zakazywał przestąpić kiedykolwiek próg tego domu, jak weźmie służbę i przedstawi jej rezydentów jako tych, których nigdy nie mają wpuszczać w bramy Borgu. Pragnęła usłyszeć, jak wypowie swoją pogardę nie tylko dlatego, co z nią uczynili, lecz zarazem za ich zachowanie się względem starej majorowej, ich dobrodziejki. Bezwątpienia on, który dla niej był uosobioną słodyczą i względnością, uniesie się słusznym gniewem przeciw jej prześladowcom. Miłość doda ognia jego słowom. On, który ją osłaniał, jako istotę delikatniejszą od innych, nie ścierpi, ażeby niegrzeczni ludzie ośmielili się porwać ją i unieść jak jastrząb gołębia. Mała kobiecina goreje tedy pragnieniem zemsty od stóp do głów.

Beerencreatz, pułkownik, z gęstemi, siwymi wąsami, wszedł śmiało do jadalni, kierując się prosto w stronę kominka, na którym zawsze płonął wesoly ogień, ilekroć hrabina wracać miała z zabawy.

Gösta zaś pozostał w cieniu, u drzwi i przypatrywał się w milczeniu hrabinie, której służący pomagał zdjąć okrycie. Gdy tak stał i patrzył na młodą kobietę, rozradowała mu się dusza, jak od lat nie pamięta. Nagle spadła na niego, jak gdyby objawienie, pewność, że w niej mieści się najpiękniejsza dusza. Długo spoczywała w głębokim śnie, ale ona się kiedyś zbudzi. Czuł się tak nieskończenie szczęśliwym, odkrywszy wszystką tę czystość,

pobożność, niewinność, które w jej sercu mieszkały. Omal nie śmiał się z niej, widząc ją tak zagniewaną, z płomiennem licem i zmarszczonem czołem. — Sama nie wiesz, jaka jesteś dobra i łagodna — pomyślał.

Od tej chwili musiał Gösta Berling stać się jej sługą, jak służyć się musi wszystkiemu, co piękne i boskie. Nie mógł żałować poprzedniego gwałtownego postąpienia wobec niej, bo gdyby nie był jej tak nastraszył, gdyby go była nie odpychała tak silnie, gdyby nie był czuł, jak drży przed jego zuchwałstwem, nie byłby się nigdy dowiedział, jaka piękna i szlachetna mieszka w niej dusza.

Dotąd nie miał sposobności przekonać się o tem. Ona miała przecież opinię lekkiej, wesołej, a przytem popelniła taką niedorzeczność i poślubiła głupiego Henryka Dohnę.

Teraz do śmierci będzie jej niewolnikiem — psem i niewolnikiem, jak zwykł mawiać kapitan Chrystyan.

Siedział więc u drzwi Gösta Berling i niejako modły odprawiał. Od owego dnia, kiedy po raz pierwszy poczuł nad swoją głową ognisty płomień natchnienia, nie zaznał podobnej podniosłości ducha. Nie wyrwało go z tego nastroju nawet wejście hrabiego Dohny z towarzyszami, którzy kleli i wymyślali na głupie figle rezydentów. On myślał o czem innem, Beerencroutzowi pozwolił odeprzeć pierwszy atak.

Ten tymczasem stał zupełnie spokojnie przy kominku, jedną nogę postawił na kracie, łokieć oparł na

kolanie, a podbródek ujął dłonią i patrzył na wchodzących.

— Co to wszystko ma znaczyć? — pisał mały hrabia.

— To znaczy, że póki istnieją kobiety, nie zbraknie nigdy głupców, którzy będą tańczyli, jak one im zagrają — odparł rezydent.

Mały hrabia poczerwieniał.

— Pytam, co to ma znaczyć? — powtórzył.

— Właśnie i ja sam ciekawy jestem — odezwał się tamten. — Czy wolno mi zapytać, co to miało znaczyć, że małżonka hrabiego Henryka Dohny nie chciała tańczyć z Göstą Berlingiem?

Hrabia zwrócił się do żony z pytaniem spojrzaniem.

— Nie mogłam, Henryku! — zawołała. — Nie mogłam tańczyć ani z nim, ani z żadnym innym rezydentem. Weiż stała mi w pamięci majorowa, której pozwolili gnić w więzieniu.

Mały hrabia wyprostował się i odrzucił w tył swoją głowę starca.

— My rezydenci — mówił Beerencroutz — nie pozwalamy się nikomu obrażać. Kto więc nie chciał z nami tańczyć, musiał jechać z nami. Nie stała się przeto hrabinie żadna krzywda i na tem niech będzie koniec całej sprawy.

— Wcale nie — zaprzeczył hrabia — nie może się tak skończyć. Ja muszę odpowiadać za czynny mojej małżonki. A teraz pytam, dlaczego Gösta Berling nie zwrócił się do mnie, żądając odemnie satysfakcyi, gdy go moja żona obraziła?

Beerencroutz uśmiechnął się.

— Nie pyta się lisa o pozwolenie, gdy się go chce obedrzeć ze skóry — odrzekł.

Hrabia położył rękę na swojej wazkiej piersi.

— Powiadają, że jestem mężem prawym — deklamował. — Mogę sądzić służbę swoją, dlaczegoż nie miałbym wydać sądu na moją małżonkę? Rezydenci nie mają prawa jej sądzić. Karę, którą oni jej nałożyli, ja znoszę. Ja o niej nic nie chcę wiedzieć. Rozumiecie, panowie, dla mnie ona nie istniała?

I hrabia powtórzył te słowa najwyższym fałsetem.

Beerencrutz szybko obrzucił zgromadzonych okiem. Wszyscy oni Sintram i Daniel Vendig i Dahlberg i kto tam jeszcze nie był — wszyscy uśmiechali się pod wąsem z głupoty hrabiego Henryka.

Młoda hrabina nie odrazu spostrzegła, o co chodzi. — Cóż to on uważa za niebyłe? — дума. — Jej niepokój, szorstkie dotknięcie się jej delikatnego ciała, dzikie śpiewy, dzikie słowa, dzikie pocałunki — to wszystko ma uważać za niebyłe?

— Ależ Henryku.

— Milcz! — rozkazał, puszczając się i jął wygłaszać swoje kazanie. — Biada ci, że ty, jako niewiasta, ośmieliłaś się sądzić mężczyznę. — Biada ci, że jako żona moja odważyłaś się obrażać kogoś, komu ja rękę podaję? Co ciebie obchodzi, że rezydenci wtrącili majorową do więzienia? Alboż nie byli w prawie? Nigdy nie zdołasz zrozumieć, jak mężczyznę wstrząsa głęboko sprawa niewierno-

ści kobiecej. Czy może sama zamierzasz puścić się na tę ślizką drogę, skoro bronisz takiej kobiety?

— Ależ Henryku!

Jęczała jak dziecko i wyciągała ręce, gdy chciała odwrócić od siebie te niegodziwe słowa. Nigdy w życiu nie zwracano się do niej z tak ostremi wyrzutami. Bezbronna stała wśród wszystkich tych srogich mężów, a jedyny jej obrońca także się przeciw niej zwrócił. Nigdy już serce jej nie odzyskało mocy rozsiewania światła naokół.

— Ależ Henryku, powinienbyś przecież stanąć w mojej obronie!

W tej chwili — co prawda nieco za późno — ocknął się Gösta Berling. Nie wiedział, co robić. Tak pragnął jej dobra, ale nie śmiał stawać między mężem a żoną.

— Gdzie Gösta Berling? — zapytał hrabia.

— Tu — i usiłując wszystko w żart obrócić, dodał: Pan hrabia, zdaje się, miał mowę, a tymczasem ja się zdrzemnąłem. Coby pan hrabia na to powiedział, gdybyśmy pojechali do siebie i spać się położyli?

— Gösto Berlingu, ponieważ żona moja nie chciała z tobą tańczyć, rozkazuję jej ucałować twoją rękę i prosić cię o przebaczenie!

— Mój kochany hrabio Henryku — odezwał się Gösta z uśmiechem — to nie ręka nadająca się do całowania. Wczoraj czerwona była od krwi ubitego losia, jutro będzie czarna od sadzy po bitce z jakim węglarzem. Pan hrabia wygłosił szlachetny, wielkoduszny wyrok. Jest to dostateczne zadośćuczynienie. Chodź, stary!

Hrabia zagroził mu drogę.— Nie odchodźcie. Żona moja musi mnie słuchać. Chcę, aby małżonka moja przekonała się, dokąd prowadzi samowola.

Gösta przystanął niezdecydowany. Hrabina zbłądła, ale nie ruszyła się z miejsca.

— Chodź! — zawołał hrabia.

— Henryku, nie mogę!

— Musisz!—rzekł szorstko.— Musisz. Ja wiem, czego ci się zachciewa. Chcesz zmusić mnie do pojedynku z człowiekiem, którego przez kaprys jakiś nienawidzisz. Dobrze! Skoro ty mu nie chcesz dać satysfakcyi, ja cię zastąpię. Szczególniejsze jakieś upodobanie mają kobiety w tem, aby mężczyźni za nie ginęli. Tyś zbłądziła, ale nie chcesz błędu swego naprawić. A zatem będę się pojedynkował, pani hrabino! Za kilka godzin będę już trupem.

Spojrzała na niego przeciągłym spojrzeniem. I ujrzała go takim, jakim był w rzeczywistości: głupim, nędznym, nadętym pychą i próżnością, najmarniejszym, jakim sobie tylko wyobrazić mogła.

— Bądź spokojny — rzekła lodowatym głosem — uczynię, co trzeba.

Ale teraz oburzył się Gösta Berling.

— Tego pani hrabina nie może uczynić — nie powinna uczynić! Pani jest przecież dzieckiem, słabem, niewinnem dzieckiem i miałaby mnie w rękę całować! Dusza pani taka czysta, taka piękna. Już się nigdy więcej nie zbliżę do pani. Ja przynoszę zgubę i śmierć wszystkiemu, co jest dobre i niewinności pełne. Niech się pani mnie nie dotyka. Lękam się pani, jak ogień wody! Niech pani tego nie czyni—wołał, chowając ręce za siebie.

— Nic mi nie zaszkodzi, panie Berlingu! Teraz mi to już nie szkodzi. Przepraszam pana. Proszę, niech mi pan pozwoli ucałować swoją rękę.

Gösta wciąż trzymał ręce na plecach, a spogiądał po sali i cofał się ku drzwiom.

— Jeżeli nie przyjmiesz satysfakcyi, jaką ci daje moja żona, musiałbym się z tobą pojedynkować, Gösto, a jej musiałbym większą karę wymierzyć.

Hrabina wzruszyła ramionami.

— On przecież stracił zupełnie zmysły ze strachu — szepnęła.— Niechże pan pozwoli, przecież to wszystko jedno, czy się upokorzę, czy nie, zresztą przecież sam pan tego chciał.

— Chciałem? Więc pani sądzi, że ja chciałem? Teraz, gdy nie będę miał rąk, któreby pani całować mogła, przekona się pani, że *nie* chciałem!—zawołał.

Podbiegł ku kominkowi i wsadził weń ręce. Płomienie ogarnęły je, skóra popekała, jakiś paznokieć zatrzeszczał. W tejże chwili jednak chwycił go Beerencrutz za kołnierz i odrzucił na pokój. Zatoczył się na jakieś krzesło i padł na nie. Zawstydzil się swojego czynu. Ona gotowa przypuszczać, że zrobił to z chępliwości. W ten sposób się zachować wobec tylu ludzi, to przecież musi wyglądać na głupią komedję. O niebezpieczeństwie nie było mowy!

Zanim się podniósł, ujrzał hrabinę u nóg swoich. Chwyliła czerwone, ciemne od dymu ręce i przypatrywała im się długo.

— Ucałuję je, ucałuję — mówiła — gdy nie będą tak poranione i obolale. Lzy trysnęły jej

z oczu, gdy patrzyła, jak pęcherze tworzyły się pod opaloną skórą.

To było dla niej śliczne objawienie. Że też na świecie mogło się jeszcze wydarzyć coś podobnego! że dla niej można było uczynić coś takiego! Cóż to za człowiek zdolny do wszystkiego, mocarz tak w dobrem, jak i w złem, człowiek wielkich czynów, silnych słów, wielkich przymiotów! Bohater, bohater! Z innego materiału, niż wszyscy inni. Niewolnik kaprysu, ulegający chwili, dziki i straszny, ale posiadający ogromną siłę, nie lękający się niczego w świecie!

Cały wieczór czuła się tak przygnębiona: widziała tylko smutek, okrucieństwo, tchórzostwo, ale teraz poszło wszystko w zapomnienie, znów jest wesoła, rada z życia. Ponure cienie pierzchły, widziała znów światła, barwy i świat pełen słońca.

A gdy się wkrótce potem dowiedziała, że majorowa została wypuszczoną, wydała bal wielki na cześć rezydentów. Tem rozpoczęła się długoletnia jej przyjaźń z Göstą Berlingiem.

STRACHY.

O, dzieci czasów obecnych, nie mam wam nic nowego do powiedzenia, tylko to, co już postarzało się i niemal poszło w zapomnienie. Mam dla was tylko bajki z dziecięcych pokojów, gdzie maleństwa na niziutkich krzeselkach otaczają kołem nianię, opowiadającą im bajki, z izb czeladnych, w których trzaska ogień na kominku, otoczonym gwarzącą czeladzią dworską—tymczasem mokre ich suknie suszą się, a oni wyciągają noże ze skórzanej pochwy i smarują masłem grube kromy świeżego chleba, lub z izb, gdzie staruszkowie, bujając się w fotelach, ożywni grogiem, opowiadają sobie o dawnych czasach.

Jeżeli wtedy dziecko jakieś, które przysłuchiwało się niani, czeladzi albo staruszkom w zimowe wieczory stanie przy oknie, nie chmury widzi sunące po niebie, lecz rycerzy, ciągnących drużynami, gwiazdy stają się woskowymi świecami, zapalonymi w starem zamczysku, a kołowrotek, turkocący

w przyległym pokoju, należy, ich zdaniem, do starej Ulryki Dillner.

A gdy dziecko takie karmione bajkami pośle się do spiżarni, położonej za ciemnym strychem po chusty lniane lub placek, biegną wtedy co tehu małe nożęta, jednym susem zbiegną ze schodów, przez sień i do kuchni. Na górze bowiem, w ciemności, przypomnialy się dziecku wszystkie opowiadania, zasłyszane o niegodziwym dziedzicu Forsu, który zaprzedał dyabłu duszę.

Prochy złego Sintrama dawno spoczywają na cmentarzu w Svartsjö, nikt jednak wierzyć nie chce, aby dusza jego spoczywała w Panu, jak napisano na nagrobku.

Za życia swego był on jednym z tych, do których w dżdżyste popołudnia niedzielne zajeżdżała ciężka, w czarne konie zaprzęzona karoca. Wysiadł z niej elegancki, czarno ubrany pan i pomagał dziedzicowi grać w karty lub kości umilać długo wlokące się godziny, które doprowadzały go do rozpaczliwej swojonej jednostajności. Partye przeciągały się do północy, a gdy nieznajomy odjeżdżał o świtanie, zostawiał zawsze jakiś podarunek — zapowiedź nie-szczęścia.

Tak, póki Sintram na świecie bawił, był jednym z tych, których przyście oznajmują duchy. A przed nimi zawsze biegną ostrzeżenia: to wóz turkoce na podwórzu, to bat trzaska, słycać głosy na schodach, brama sama się otwiera i zatraskuje. Na ten hałas zrywają się ze snu psy i ludzie — ale nikt się nie zjawia — to były tylko przepowiednie.

Hał ci straszni ludzie, których nawiedzają złe

duchy! A pamiętacie owego straszego psa, który się zjawiał w Forsie za czasów Sintrama? Miał on okropne, błyszczące oczy i długi, jak ogień czerwony język, który wystawiał z rozwartej paszczy. Pewnego razu, właśnie, gdy czeladź zgromadzona była w kuchni na obiedzie, zaskrobał do drzwi — wszystkie dziewczki wrzasnęły przerażone, a największy i najsilniejszy z parobków porwał z ogniska płonąca głownię, otworzył drzwi i rzucił ją psisku w paszczę. Uskoczyło, wyjąc przeraźliwie — ogień i dym buchały mu z pyska, iskry skakały naokół niego, a ślady łap jego gorzały na drodze, jak ogień.

Najstraszniejsze było, gdy dziedzic wyprawiał się w podróż; wyjeżdżał z domu konno, ale kiedy wracał nocą, zawsze do karocy zaprzężone były czarne bawoły. Ludzie, mieszkający przy gościńcu, widywali czarne, ogromne rogi, odrzynające się pod czarnem niebem, kiedy przejeżdżał obok nich, słyszeli ryczące bawoły i strach ich zdejmował na widok iskrzących się śladów, które zostawiły koła i kopyta na suchej trawie.

Tak, tak, spieszo też było małym nożętom, gdy miałem przechodzić przez wielki, ciemny, strych. Gdyby tak to, czego wymienić nie śmiały, gdyby tak ono ukazało im się w ciemności! Czy to można być pewnym, że się nie ukaże? Wszak widzieli go nie tylko źli ludzie. Alboż nie ukazał się Ulryce Dillner? Zarówno ona, jak Anna Styarnhök, umiałyby coś o tem opowiedzieć.

Przyjaciele, dzieci ziemi, wy, którzy tańczycie i śmiejecie się, proszę was, błagam, tańczcie uważnie, śmiecie się cicho, gdyż niejednokrotnie sprowadzić

możecie nieszczęście, gdy wasze cieniutkie, jedwabne cizemki stąpać będą po ludzkich sercach, zamiast po posadzce a wasz srebrzysty śmiech może niejednę duszę w rozpacz wpędzić.

Widocznie młode nogi zbyt mocno stąpały po sercu starej Ulryki, śmiech młodych brzmiał w jej uszach zbyt jaskrawo, skoro nagle ogarnęło ją nieprzeparte pragnienie nabycia imienia i stanowiska mężatki. Przyjęła tedy ponawiające się od wielu lat oświadczyzny niegodziwego Sintrama, jako żona jego towarzyszyła mu do Forsu i w ten sposób nastąpił rozbrat z dawnymi przyjaciółmi w Berge, z zajęciem, które z czasem polubiła i troską o chleb powszedni.

Ślub jej odbył się niespodzianie. Około Bożego Narodzenia oświadczył się Sintram, a w lutym odbyło się wesele.

Anna Stjaernhök mieszkała już w domu kapitańskim Uggli. Stanowiła ona dobrą zamianę, tak, że Ulryka mogła bez wyrzutów sumienia wyprowadzić się po zdobyciu tytułu żony.

Bez wyrzutów sumienia, lecz nie bez żalu. Nie-dobre to było miejsce, w które się dostała — duże, puste pokoje wypełnione były strachami.

Skoro tylko się ściemniło, bała się i omal nie wpadła w obłęd z tęsknoty za przeszłym życiem.

Zwłaszcza straszne dla niej były długie, niedzielne popołudnia. Nie chciały się one kończyć, różnie jak dręczące ją myśli, które się jej snuły po głowie.

Zdarzyło się pewnego razu, że Sintram nie wrócił z kościoła do domu, więc ona poszła do

sali i siadła do fortepianu. Była to jej jedyna pociecha. Fortepian z wymalowanym flecistą i pasterką na białym wieku był jej własnością, otrzymała go w spadku po rodzicach. Jemu mogła się poskarżyć — on ją rozumiał.

A wiecie co grywa? tylko polkę — ona, taka smutna!

Ale nie umiała nic, prócz tej jednej polki; nauczyła się jej, zanim palce jej skrzywiły się od ciągłego trzymania łyżki kuchennej i noża. Ona pozostała jej w palcach, nie umiała żadnego innego kawałka, żadnego marsza żałobnego, żadnej sonaty namiętnej, ani nawet smutnej piosenki ludowej — tylko jedną jedyną polkę!

Ją grywa, ilekroć pragnie zwierzyć się staremu fortepianowi. Gra ją, gdy ma ochotę się śmiać, gra ją, gdy chciałaby płakać. Grała ją, gdy obchodziła swoje wesele, gdy po raz pierwszy przestąpiła próg własnego domu i obecnie ją gra.

Stare struny rozumieją ją dobrze — jest nieszczęśliwa, ach, jaka nieszczęśliwa!

Przyjezdni, słysząc skoczne dźwięki polki, gotowiby przypuszczać, że zły Sintram wyprawia bal dla przyjaciół i sąsiadów — tak wesoło brzmi muzyka. Tą wesołą, skoczną melodią dawnymi czasy wpraszala dobry humor do Bergi a wypraszała z niej głód — gdy zabrzmiała, tańczyło wszystko; zrywała pęta reumatyzmu i zwabiała ośmdziesięcioletnich starych do sali. Wszyscy, słysząc tony owej polki, mieliby ochotę tańczyć, ale stara Ulryka przy niej płacze.

Otoczają ją złe zwierzęta i nieprzychylna słu-

żba. Tęskni do widoku uprzejmej twarzy i uśmiechniętych ust. A wyrazem tej rozpacznej tęsknoty ma być ta polka.

Ludziom tak trudno pamiętać o tem, że ona jest panią Sintramową—wszyscy nazywają ją, jak dawniej, panną Dillner. Dlatego polka ma wyrażać jej żal, iż dała się uwieść próżności, pragnąc tytułu mężatki.

Stara Ulryka gra, jak gdyby struny pozrywać chciała, bo wiele chce zagłuszyć: skargi zubożałych wieśniaków, przekleństwa wyzyskanych robotników, drwiny krnąbrnej służby, a nadewszystko wstyd, wstyd, że jest żoną złego człowieka.

W takt tych dźwięków tańczył Gösta Berling z młodą hrabiną Dohna, Maryanna Sinclair tańczyła przy jej dźwiękach z licznymi swoimi wielbicielemi i majorowa w jej takt płaśała, kiedy żył jeszcze piękny Altringer. Widzi ich sunących para za parą, pełnych młodości i urody. Prąd radości krążył od nich ku niej i od niej ku nim. Jej polka wyoływała rumieniec na ich licach i płomień w oczach. Teraz rozstała się z tem wszystkim. A wiecie, niech brzmi polka; tyle, tyle wspomnień trzeba zagłuszyć!

Gra, aby pokonać strach. Serce jej omal nie pęknie z trwogi, gdy widzi owego psa, gdy słyszy szept bę szeptającą o czarnych bawołach. Gra raz po raz z polką, aby uciszyć trwogę.

Nagle słyszy, że mąż powrócił... słyszy, że wszedł do pokoju i usiadł w krześle bujającym. Zna tak dobrze ton skrzypiącej podłogi, że nie ma potrzeby się odwracać.

A gdy ona gra, on wciąż buja się w fotelu, tak, że już nie słyszy tonów, jedynie to bujanie.

Biedna stara Ulryka, zmizerowana, samotna, wśród wrogów, nie mająca ani jednego przyjaciela, któremu mogłaby się poskarżyć, bez pocieszydźcielnego nad ten stary, klekocący fortepian, odpowiada jej polką. Brzmi ona jak głośny śmiech na porzebie, jak pieśń pijacka w kościele.

I przy wtórze ustawicznego bujania się karła posłyszała nagle, że fortepian sztydzi z jej skarg i urwała w połowie taktu. Wstała i spojrzała na karła. W następnej jednak chwili padła omdlała na ziemię. Tam—w bujającym karześle siedział nie mąż jej, lecz wędrownik — on, którego imienia dzieci wymawiać nie śmieją, on, na którego widok umarłyby ze strachu.

Czy też człowiek, którego umysł przejęty jest baśniami dawnych czasów, może się kiedyś od ich wpływu uwolnić? Wicher nocny wyje na dworze, drzewo gumowe i oleander sztywnymi liśćmi uderzają o balustradę balkonu. Niebo posępne zawisło nad długim grzbietem górskim, a ja, która w tej godzinie nocnej sama siedzę i przy blasku lampy i wyciągniętych storach piszę, ja, która stara jestem i powinnabym być mądrą, czuję mrowie przechodzące mnie, jak ongi, gdy po raz pierwszy opowiadano mi tę historję — podnoszę raz wraz oczy od pracy, aby zobaczyć, czy tam w kącie ktoś się nie skrył, muszę wyjść na balkon, przekonać się, czy przez balustradę nie zagląda jakaś czarna głowa. Nie opuszcza mnie nigdy strach, który wywołują dawne opowiadania, zwłaszcza, gdy noc jest ciemna, a samotność zupełna i tak mną w końcu

owłada, że zmuszona jestem wejść do łóżka i głowę nakryć kołdrą. Jako dziecko wydziwić się nie mogłam, że Ulryka Dillner przeżyła te chwile — jabym nie mogła.

Szczęściem nadjechała wkrótce potem do Torsu Anna Stjaernhök, zastała ją leżącą na podłodze i wróciła do przytomności. Ze mną nie poszłoby tak łatwo, jabym nie mogła.

Życzę wam, drodzy przyjaciele, abyście nie musieli patrzeć na lzy starych oczu. Abyście nie musieli berzradnie stać, gdy siwa głowa wesprze się na waszej piersi, szukając podpory, lub stare ręce wyciągają się do was będą z milczącym błaganiem. Oby was ominął widok cierpień staruszków, którym ulżyć nie możecie.

Czemże są skargi młodych? Oni mają siłę, mają nadzieję. Ale jakaż to straszna rzecz, gdy starzy ludzie płaczą, gdy ci, którzy byli wam, młodym oparciem, popadną w bezsilne narzekania i skargi!

Tak siedziała Anna Stjaernhök i słuchała skarg Ulryki starej, nie mogąc jej nic poradzić. Staruszka płakała i trzęsła się. Oczy jej patrzyły błędnie; zdało się, że nie pojmowała, gdzie się znajduje. Liczne zmarszczki, twarz jej odkrywające, były dwa razy tak głębokie jak zazwyczaj, loki spadające jej na oczy rozkręciły się od wilgotnych łez, a całą jej chudą, wydłużoną postać wstrząsały łkania.

Wreszcie chciała Anna to koniecznie zakończyć, postanowiła zabrać ją z sobą do Bergi. Wprawdzie była żoną Sintrama, ale w Torsie pozostać nie mogła — gotowa rozum postradać przy tym niegodziwym mężu. Anna zdecydowała się zabrać starą Ulrykę

Jakież radosne przerażenie owładnęło staruszką, gdy jej to postanowienie objawiła! Ale nie miała odwagi uciec od męża i domu. On byłby zdolny wysłać po nią swojego straszego psa. Anna jednak przemogła jej opór bądź żartem, bądź groźbą i nie upłynęło pół godziny, jak siedziała z nią w saniach.

Anna sama powozila. Droga była grzązka, gdyż było to pod koniec marca, ale starej Ulryce miło było siedzieć w znanych sobie dobrze sankach, ciągniętych przez starą Dizę, wierną Bergi sługę, co najmniej w jej wieku.

A że ta stara niewolnica do pracy nawykła, humor miała dobry i usposobienie pogodne, zapomniała płaczu, gdy przejeżdżały koło Arvidstorp; pod Högbergiem śmiała się już, a kiedy znajdowały się przed Munkeby utonęła całkowicie we wspomnieniach młodości opowiadała swojej towarzysze, co się jej wydarzyło, gdy była u hrabiny z Svanenholmu.

Po chwili skrzyły w ustronną, odludną okolicę na północ od Munkeby, gdzie droga jest pagórkowata i kamienista. Wije się ona w górę po wszystkich wzgórzach, których tylko dosięgnąć zdoła, powolnymi skrętami, by nagle spuścić się na złamanie karku, poczem biegła prostą linią po równi, ale tuż-tuż znalazła sobie nową wyniosłość, by się mogła znów pięć w górę.

Właśnie miały zjeżdżać z Vestratorpu, gdy nagle stara Ulryka umilkła i kureczowo ścisnęła ramię Anny. Ostupiałe oczy wlepiła w ogromnego psa, ukazującego się na skrawku drogi.

— Patr! — zawołała.

Pies wskoczył w las, zanim Anna mogła mu się dobrze przypatrzeć.

— Jedź prędzej!—wołała stara Ulryka—jedź, co sił! Teraz dowie się Sintram, że tu jestem,

Anna usiłowała śmiać się z jej przestachu, ale tamta szeptała dalej:

— Zaraz usłyszymy jego dzwonki—usłyszymy je, zanim znajdziemy się pod najbliższym pagórkiem.

A gdy w następnej chwili Diża, sapiąc, wspinała się na szczyt Elofa, dały się z dołu słyszeć dzwonki.

Stara Ulryka odchodziła od zmysłów. Dygotała, jęczała, szlochała zupełnie jak w sali na Torsie. Anna chciała Diżę popędzać, ta jednak odwróciła głowę i przesłała jej pełne zdumienia spojrzenie. Czyżby sądziła, że Diża nie wie, gdzie ma biegnąć a gdzie iść wolno? Czyżby chciała ją uczyć sanki ciągnąć, ją, która od lat przeszło dwudziestu zna każdy kamień, każdy most, każdy płot, każdy pagórek na milę wokół?

Tymczasem dzwonki słyhać było coraz bliżej a bliżej.

— To on, to on, znam jego dzwonki! — zawodzi stara Ulryka.

Odgłos dochodzi ich coraz wyraźniej; chwilami brzmi tak silnie, że Anna odwraca się, popatrzeć, czy koń Sintrama nie dotyka głową jej sań—to znów przycicha. Słyszą dzwonki to z prawej, to z lewej strony, ale nie widać jego i czarnego jego konia. Niemiłego uczucia doświadcza na ten bezustanny odgłos dzwonek. Nie jest bojaźliwa, nigdy nią nie była, ale te dzwonki dreczą ją i niepokoją.

— Dzwonki mnie dreczą — powiada. I w lot chwytają te słowa dzwonki.

— Dreczą mnie—powtarza — dreczą mnie, dreczą, dreczą—brzmia na wszystkie tony.

Niedawno, ścigana przez wilki, odbywała tę samą drogą. W mroku nocnym błyskały ku niej białe zęby rozwartej paszczy, była przekonana, że rozszarpia ją drapieżne zwierzęta. Wtedy jednak nie czuła strachu. Piękniejszej nocy nie przeżyła dotąd. Piękny i rosły był koń, który ją wiozł, piękny i silny był mężczyzna, dzielący z nią wesołą przygodę.

Ach, to stare, biedne konisko, ta stara, drżąca towarzyszka podróży! Czuje się tak bezradną, że jest płaczu bliżką. Nie może pozbyć się tego straszego, denerwującego ją dźwięku.

Przystaje i wysiada. To się musi skończyć. Dlaczegoż ma uciekać, jak gdyby się bała tego niegodziwego, wstrętnego łotra?

Nareszcie dojrzała głowę konia, za nią widny już cały koń, sanie, a w nich sam Sintram. Zdaje się jednak Annie, jakoby nie z gościńca jechali zarówno koń, sanie, jak człowiek, lecz jakgdyby nagle w oczach jej powstał i z ciemności się wylaniał.

Anna rzuciła Ulryce lejce i szła ku Sintramowi. On powstrzymał konia.

— Patrzcie! patrzcie, co za traf szczęśliwy!—zawołał.—Droga panno Stjaernhök, pozwól pani wsiadzić na swoje sanie mojego towarzysza podróży. Koniecznie chce dziś jeszcze znaleźć się w Berdze, a mnie się spieszy do domu.

— Gdzie jest ów towarzysz podróży?

Sintram odpiął fartuch i pokazał Annie mężczyzną śpiącego na dnie sanek.

— Jest wprawdzie pijany—ciągnął dalej—ale coż to szkodzi? Śpi spokojnie, zresztą to dobry znajomy, panno Stjaernhök—to Gösta Berling.

Anna się wzdrygnęła.

— Bo ja powiadam pani, kto swojego kochanka porzuca, sprzedaje go djabłu. W ten sposób ja dostałem się w jego szpony. Myśli się naturalnie, że działa się najlepiej, bo wyrzeczenie się jest dobre, a miłość pochodzi od szatana.

— Co pan przez to rozumie, o czym pan mówi?—pyta Anna głęboko wzruszona.

— Myślę, że panna Anna nie powinna była opuszczać Gösty Berlinga.

— To była wola Boska.

— Właśnie, właśnie, wyrzeczenie się to dobra, piękna rzecz, a miłość zła. Dobry Pan Bóg nie chce widzieć ludzi szczęśliwymi. Wysłał za nimi wściekłe wilki—ale przypuścimy, panno Anno, że nie Pan Bóg je zesłał. Czyż nie mógłbym tego równie dobrze uczynić ja? mógłbym przecież swoje małe szare jagnięta sprowadzić z gór i wysłać je w pościg za młodym mężczyzną i młodą dziewczyną. *A jeżeli* to ja wysłał owe wilki, nie chcąc utracić jednego z tych, którzy do mnie należą? Jeżeli to wcale nie Bóg uczynił?

— Nie doprowadzi pan do tego, abym zaczęła wątpić—rzekła Anna słabym głosem—inaczej zginąłby mi przysło.

— Spójrz pani -- powiedział Sintram, pochylając się nad śpiącym Göstą — przyjrzyj się pani

jego małemu palcowi. Ta rana nigdy się nie zablizni. Z niego utoczyliśmy krwi do podpisania układu. On jest mój. We krwi tkwi wielka moc — on do mnie należy. Tylko miłość mogłaby go ocalić. A dobrze wyjdzie na tem, gdy przy mnie pozostanie!

Anna Stjaernhök walczy z sobą, chąc otrząsnąć się z czaru, który nią owłada. Przecież to niedorzeczność! myśli. Nikt nie może duszy swej zapisać szatanowi. Ale nie posiada już władzy nad swojemi myślami, zmierzch jej dokucza, las stoi ponury i milczący. Nie może pozbyć się grozy, którą woli w niej ta straszna chwila.

— Czy panna Anna sądzi, że już niewiele dobrego w nim? — ciągnie dalej Sintram. — Niech pani tego nie myśli — alboż on kiedy ciemnizył włościan, oszukiwał biednych przyjaciół? Alboż grał kiedy fałszywemi kartami? Czy był kiedy, panno Anno, kochankiem zamężnej kobiety?

— Chyba sam szatan z pana!

— Zamieńmy się, panno Anno. Weź pani Göstę Berlinga za męża. Zatrzymaj go pani dla siebie, a tym z Bergi daj pani pieniądze. Ja go pani odstąpię, a pani wie przecie, że on mój. Przypuść pani, że nie Bóg zesłał w ową noc wilki i zamieńmy się.

— Co pan chce otrzymać wzamian?

Sintram skrzywił się.

— Co chcę? ach, nic wielkiego. Da mi pani tylko tę starą babę, która siedzi w saniach pani, panno Anno.

— Szatanie! kusicielu!—zawołała — Precz odeń. Mamże opuścić starą przyjaciółkę, która się po-

wierzyła mojej opiece? Mamże ją znów oddać w twoje ręce, aby zmysły postradała?

— Nó, no, spokojniej, panno Anno! Proszę się zastanowić. Tu jest młody, piękny mężczyzna, a tam stara, przeżyta baba. Jedno z dwojga mieć muszę. Kogoż mi pani użyczy?

Anna roześmiała się rozpaczliwym śmiechem.

— Czy pan Sintram będzie tu ze mną stał i targował się o dusze, jak się targuje konie na targu w Broby?

— Tak, właśnie tak samo. Ale jeżeli panna Anna woli, możemy tę sprawę załatwić w inny sposób. Możemy odwołać się do honoru Stjaernhöków.

To powiedziawszy, głośno wzywa swoją żonę, która siedziała w sankach i ku przerażeniu Anny, ta słucha wezwania, wysiada z sań i dygocąc i trzęsąc się, postępuje ku niemu?

— Ho, ho! posłuszna żona! — wykrzykuje Sintram. — Panna Anna nie może mieć przeciwko temu, że słucha swego męża? Teraz wyniosę Göstę z sanek i zostawię go tu. Na *zawsze* go zostawię, panno Anno—kto ma ochotę, może go sobie zabrać.

Pochyliła się, aby Göstę podnieść, w tej chwili jednak pochyliła się nad nim Anna tak, że prawie dotyka jego twarzy, przesywa go spojrzeniem i sy- czy, jak wąż:

— Jedź do domu w imię Boże! Czyż nie wiesz, kto tam czeka na ciebie w krześle bujającym? Pozwolisz mu czekać na siebie tak długo?

Z przerażeniem spostrzega Anna, jak te jej słowa działają na niegodziwca. Pociągnął za lejce, zawrócił sanki i puścił się do domu, popędzając konia

uderzeniami bata i dzikimi okrzykami. Ze stromej pochyłości zjeżdżali bez pamięci a długi pas iskier z pod sań i kopyt końskich znaczył się na cienkiej warstwie marcowego śniegu.

Na gościńcu pozostały tylko Anna Stjaernhök z Ulryką Dillner—ale nie przemówiły do siebie słowa. Ulrykę dreszcz przechodzi pod dzikiem spojrzeniem Anny, a ta, nie znajduje również słowa dla biednej staruszki, dla której poświęciła ukochanego.

Miała ochotę płakać, szaleć, tarzać się po drodze i głowę posypać piaskiem i śniegiem. Dotąd odczuwała wielkość poświęcenia, obecnie czuje tylko jego gorzyc.

Dojechały do Bergi, nie zamieniwszy słowa. Kiedy jednak zajęchały i otworzyły drzwi do mieszkania, zemdląca Anna Straernhök po raz pierwszy w swoim życiu, Sintram z Göstą Berlingiem siedzieli w najlepsze, rozmawiając spokojnie. Gęste kłęby dymu wypełniały pokój, widocznie zatem siedzieli tu już co najmniej od godziny.

Anna Stjaernhök zemdląca, a Ulryka przyjęła to spokojnie, bo ona już na drodze spostrzegła, że to coś niedobrego było z tym, który je gonił.

Później załatwili kapitan i jego żona sprawę z Sintramem i zatrzymali u siebie starą Ulrykę.

Utrzymał on bowiem, że wcale nie chciał doprowadzać jej do szaleństwa.

Dzieci czasów obecnych! Nie wymagam, aby któreś z was wierzyło w te dawne historie. Być może, iż one są tylko zmyśleniem, wytworem wyobraźni. Ale żal, który kolysze serce, aż trzeszczy i ję-

czy, jak podłoga w Sintramowej sali pod biegunami krzesła i zwałpienie, dźwięczące w uszach, jak dźwięczały dzwonki sanek w uszach Anny Stjaernhök w samotnym lesie — czyż to także kłamstwo i wytwór wyobraźni jedynie?

Gdybyż tak rzeczywiście było!

HISTORIA EBBY DOHNA.

Strzeż się wstąpić na piękny cypel wschodniego brzegu jeziora Löb, oplynionego łagodnymi falami zatoki, na dumny cypel, na którym leży zamek Borg. Nigdy jezioro nie wydaje się piękniejsze, jak ze szczytu cypla tego. Nikt nie wie, jak piękne jest jezioro marzeń moich, kto nie widział pięknej porannej mgły, jak mknęła po gładkiej powierzchni, kto z okien małego pokoiku, w którym mieści się tyle wspomnień, nie widział różanego zachodu słońca, odbijającego się w jeziorze.

Ja jednak powtarzam, nie chodź tam!

Bo może zawładnie tobą ochota przebywania w żalobnych salach starego zamczyska, może nabędziesz to miejsce na własność, a jeżeli jesteś bogaty, młody i szczęśliwy, może zechcesz tam się osiedlić ze swoją młodą żoną. Nie, lepiej więc nie widzieć zgoła pięknego cypla, gdyż na Borgu szczęście nie może mieszkać. O tem nie zapominaj! Jakkolwiekbyś był szczęśliwym, bogatym w chwili prze-

noszenia się do tego palacu, niebawem stare, lzan
nasiąkle deski podłogi zroszą się i *twojemi* lzanami
ściany, które wydały z siebie niejedną skargę żalową,
sną, przyjmą także *twoje* żale i przechowają je.

Jakieś fatum ciąży na tym pięknym zamku.
Zda się, jakby nieszczęście tam było pogrzebane
i w grobie nawet nie mogło znaleźć spokoju, lecz
wciąż zmartwychwstaje, strasząc żywych. Gdyby
była panią Borgu, kazałabym ziemię skopać, zarówno
kamienisty grunt lasu sosnowego, jak dno piwnicy
i czarnoziem na polach, póki bym nie znalazł
przez robaki stoczonego trupa czarownicy, któryby
złożyła w poświęconej ziemi, na cmentarzu w Svart-
tsjö. Na pogrzeb nie żałowałabym wydatku, niech
by dzwony brzmiały długo i głośno. Ofiarowałabym
bogate dary proboszczowi i zakrystyanowi, abym
ją z podwojoną gorliwością wyprawili na tamtejszy
świat z mowami i śpiewami.

A gdyby i to nie pomogło, w noc wietrzną
podpalilibym drewniane ściany i pozwoliłabym płomieniom
wszystko pochłoniąć, aby ludzie już nie mieli pokusy
osiedlać się w tym domu nieszczęścia. Później nikomu
nie byłoby wolno wstąpić na to przeklęte miejsce,
tylko czarne sroki, gnieźdzące się w kościelnej wieży,
mogłyby sobie pobudować nowe gniazda w ogromnym
kominie, który stercałby z pogorzeliśka, sam od suszy
czarny i ponur.

A jednak byłoby mi zarazem ogromnie smutno
na duszy na widok płomieni, ogarniających dachy
i gęstych kłębow dymu, czerwonych od ognia i
płonących iskier, przewalających się na dawnym pod-
wrozie. W syku i trzasku ognia słyszałabym skargi

bezdolnych wspomnień, na niebieskich językach
płomieni widziałabym wygnane 'duchy tego domu.
Przyszłoby mi na myśl, jak smutek upiększa, jak
nieszczęście otacza blaskiem; płakałabym, jak gdyby
świątynia dawnych bogów przeznaczona była na za-
glądę.

Cyt, złowróźbny kuku! Czekaj, aż nadejdzie,
skoro chcesz zawodzić, idąc w zakład z leśnymi puszczykami.
Jeszcze stoi zamek Borg w blasku słonecznym,
osłonięty parkiem olbrzymich jodeł, a śnieżne pola
na dole skrzą się w ostrych promieniach marcowego
słońca — wśród ścian jego rozbrzmiewa jeszcze
radosny śmiech wesołej hrabiny Elżbiety.

W niedzielę jeździła ona do kościoła w Svart-
tsjö, leżącego w pobliżu Borgu, a po nabożeństwie
zapraszała małe grono do siebie, na zamek. Bywali
tam burmistrz z Munkerud z żoną, kapitan z Bergi
z rodziną, kapelan i zły Sintram.

Jeżeli i Gösta Berling przybył pieszo po lodzie
do Svartsjö, zapraszała i jego. Dlaczegoż nie miałaby
zaprosić Gösty Berlinga?

Nie wie przecież, że plotkarki zaczęły już szep-
tać o tem, iż Gösta Berling zbyt często zjawia się
na wschodnim brzegu, zapewne, aby zobaczyć się
z młodą hrabiną. Być może, iż przychodzi napić
się wina z Sintramem i zagrać z nim w karty; ale
to nie byłoby dziwnem, wszak wiadomo, że ciało
jego z żelaza — z sercem jednak zgoła inna sprawa.
Nikt nie chce wierzyć, aby mógł spoglądać na parę
pięknych oczu, jasne włosy, okalające białe czoło —
i nie zakochać się...

Młoda hrabina dobra jest dla niego — nie w tem nadzwyczajnego, ona dla wszystkich jest dobra: na kolana bierze obdarte dzieci żebraków, a gdy przejeżdża obok biednego, starego dziada, idącego gościńcem pieszo, zatrzymuje konie i bierze zmarznętego do swoich sanek.

Gösta lubi przesiadywać w małym, niebieskim pokoiku, z kądem roztacza się piękny widok na morze i czytuje jej poezye. W tem przecież niema nic złego. On nie zapomina nigdy, że ona jest hrabiną, on zaś biednym, bezdomnym włóczęgą, a dobrze na niego wpływa towarzystwo kobiety, która jest dla niego świętością niemal. Mógłby równie myśleć o zakochaniu się w królowej Sabie, której portret zdobi pulpit w kościele w Svartsjö.

Pragnie tylko znaleźć sposobność usłużenia jej, jak paź służy swojej dostojnej pani, przypiąć jej łyżwy, trzymać nici, módz powozić jej sankami. Nie może być mowy o miłości między nimi, ale on jest właśnie z tych mężczyzn, którzy czują się szczęśliwymi, gdy mogą się oddać romantycznym, niewinnym marzeniom.

Młody hrabia jest spokojny i cichy, a Gösta tryska życiem. Takiego właśnie towarzystwa trzeba młodej hrabinie. Nikt, widząc ją, nie uwierzy, aby w jej sercu mogła gościć zakazana miłość. Ona myśli jedynie o zabawie i rozrywkach. Chciałaby, aby ziemia była gładziutka, bez kamieni, skal i mórz, tak, aby całą jej powierzchnię można obtańczyć. W wązkich, o cieniutkich podeszwach, jedwabnych ciężemkach tańczyły od kolebki do grobu. Ale obmowa i jej nie oszczędza.

Gdy goście przybywają do Borgu na obiad, panowie po obiedzie udają się zazwyczaj do pokoju hrabiego przespać się lub popalić, a starsze panie w wielkich karłach przechylają swoje czcigodne głowy na wysokie oparcia i drzemią — hrabina zaś z Anną Stjaernhök przenoszą się do niebieskiego pokoiku i zwierzają się sobie ze wszystkiego.

Tu też siedzą owej niedzieli, kiedy to Anna Ulykę Dillner sprowadziła do Bergi.

Niema na świecie człowieka nieszczęśliwszego od tej dziewczyny. Wesolość jej znikła gdzieś zupełnie, zuchwała hardość, z jaką odpierała wszelkie napaści, opuściła ją całkowicie.

Wszystko, co ją spotkało w powrocie z Forsu, zatarło się w jej pamięci i znów usunęło się w cień, z którego się wyłoniło, o tem nie miała już jasnego wyobrażenia — prócz *jednego*, które zatruwało jej duszę.

— A gdyby to nie Pan Bóg zrządził! — szepce raz w raz. — Gdyby to nie Pan Bóg zesłał te wilki?

Pragnie jakichś znaków i cudów. Szuka ich na ziemi i po niebie. Ale z obłoków nie opuszcza się żaden palec, by jej wskazać drogę. Żaden obłok, żaden słup ognisty nie wiedzie jej.

Siedząc tak naprzeciw hrabiny w małym pokoiku, zauważyła wiązanek błękitnych zawilców, którą hrabina trzyma w ręce.

Niema potrzeby się pytać, od kogo są. Gdzież w całej okolicy rosną już z początkiem kwietnia anemony? jedynie w gaju brzoźowym, na wzgórk pod Ekeby.

Siedzi i wpatruje się w drobne, błękitne gwiazdki, szczęśliwe, kochane przez wszystkich, te wróżki nie tylko same piękne, lecz opromienione blaskiem piękności, którą zapowiadają, piękności, która się zbliża. A gdy tak siedzi i patrzy na nie, zbiera się w niej gniew, głuchy jak grzmot, straszliwy jak piorun.

— Jakiem prawem — myśli — ma hrabina ten bukiet niebieskich anemonów, zerwany na wzgórzu pod Ekeby!

— Wszyscy go kuszą, wszyscy: Sintram, hrabina, wszyscy chcą Göstę Berlinga skusić do złego, ale ona go obroni, ustrzeże od wszystkich! Chociażby serce jej krwawić się miało, uczyni to.

Czuje, że musi te kwiaty wyrwać z rąk hrabiny, rzucić na ziemię, zdeptać, zgnieść, zanim opuści niebieski pokój.

Czuje to i rozpoczyna walkę z maleńkimi, niebieskimi gwiazdkami.

W sali starsze panie wspierają swoje siwe głowy o poręczę i nie domyślają się niczego, panowie spokojnie, wygodnie palą sobie fajki w pokoju hrabiego, wszystko tchnie spokojem i tylko w małym, niebieskim pokoiku toczy się rozpaczliwa walka.

Ach, jakże rozsądnie czynią ci, którzy nie imają się broni, ci, którzy umieją czekać i milczeć, ci, którzy sercu nakazują milczenie, pozwalając Bogu działać.

Serce zawsze skłonne jest do zbłądzenia; zło pogarsza jeszcze zło.

Ale Annie Stjaernhök się zdaje, że teraz ujrzała palec w obłokach.

— Anno, opowiedz mi jaką powieść — prosi hrabina.

— O czym?

— Może znasz jaką o miłości? — wzdycha hrabina, piecząc wiązankę swoją białą dłonią.

— Nie, o miłości żadnej nie znam.

— Jakżeż możesz tak mówić! Czyż niema miejscowości, nazywającej się Ekeby, gdzie roi się od kawalerów?

— A tak — odpowiada Anna — jest miejscowość, nazywająca się Ekeby, mieszkają w niej mężczyźni, wysysający krew z kraju, którzy czynią nas niezdolnymi do poważnej pracy, którzy psują młodzież podrastającą i marnują najlepsze nasze talenty. Czy o nich chcesz co słyszeć? O nich pragniesz słuchać powieści miłosnych?

— Tak, bo ich lubię serdecznie!

Tedy zaczyna Anna Stjaernhök mówić krótkimi, urywaniem zdaniami, jak gdyby psalterz czytała, gdyż uczucie gwałtowne omal jej nie zadławi. Ukrywana napiętność drga w każdym słowie, a hrabina słucha z naprężoną uwagą.

— Czemże jest ich miłość? czem jest ich wierność? Jedna kochanka dziś, jutro druga, jedna na wschodzie, druga na zachodzie. Nic im za wzniosłe, nic za marne, jednego dnia hrabina, drugiego żebraczka. Niema nic tak obszernego, jak ich serca. Ale biada tej nieszczęśliwej, która kogoś z nich pokocha! Szukać go musi, gdy pijany legnie w rowie. Musi w milczeniu patrzeć, jak w karty przegrywa jej dziedzictwa. Musi znosić jego zaloty do innych kobiet. Ach, Elżbieto! gdy taki pan zaprosi

uczciwą kobietę do tańca, powinna mu odmówić, gdy jej ofiaruje wiązanek kwiatów, powinna ją na ziemię rzucić, nogami zdeptać — jeżeli go kocha, raczej umrzeć powinna, niż go zaślubić... Między tutejszymi rezydentami przebywał też wydalony proboszcz. Stracił posadę, ponieważ się upijał. Pijany wszedł raz do kościoła. Wypijał wino kościelne, możeś co o nim słyszała?

— Nie.

— Straciwszy miejsce, włóczył się, zebrząc po okolicy. Pił dalej, jak szalony, kradł, aby sobie kupić wódki.

— Jak się nazywał?

— Niema go już w Ekeby. — Majorowa przygarnęła go, odziała i namówiła twoją teściową, aby go przyjęła na domowego nauczyciela twojego męża, młodego hrabiego Henryka.

— Oddalonego proboszcza?!

— O, był to młody, zdolny człowiek, posiadający duże wiadomości. Nic mu nie można było zarzucić, prócz pijaństwa. Hrabina Marta nie była zbyt drobiazgową. Bawiło ją to do reszty, że proboszczowi i wikaremu wypłata podobnego figla. Lecz przykazała, aby nikt nie mówił z jej dziećmi o jego przeszłości, gdyż syn straciłby dla niego szacunek, a córka, jako nadzwyczaj pobożna, nie ścierpiałaby jego obecności.

— Zamieszkał więc tu, na Borgu. Siadywał na rożku krzesła, trzymał się zawsze u drzwi, przy stole milczał, a gdy goście przyjechali, uciekał do parku. Tam w ustronnych alejach spotykał często młodą hrabiankę, Ebbę Dohna. Ona nie należała

do tych, które hardo w świat patrzą. Ona była łagodna, nieśmiała. Nawet ukończywszy siedemnasty rok życia była jak dziecko nieśmiała, a piękna była z temi swojemi brązowemi oczyma w delikatnie zaróżowionej twarzy. Smukła jej kibić była nieco pochylona, jej wążka dłoń z lekkim uściskiem łączyła z drugą. Jej drobne usta były najbardziej milczące i najpoważniejsze ze wszystkich ust. A głos miała delikatny, miękki, nigdy jednak nie brzmiał on świeżo, młodzieńczo, lecz trwożnie, matowo, jak końcowy akord znużonego muzyka.

— Była odmienną od reszty dziewcząt. Jej noga dotykała ziemi tak lekko, jak gdyby była załęknioną wygnanką, gotową każdej chwili do ucieczki. Oczy miała zawsze spuszczone, aby nie przerywano jej spoglądania w piękne obrazy jej duszy, która już od dzieciństwa odrywała się od wszystkiego, co ziemskie.

— Taką spotykał nowy nauczyciel w ustronnych alejach parku.

— Nie chciałabym mówić więcej złego o nim, nad to, co jest powszechnie znane. Przypuszczam, że pokochał to dziecko, które go niebawem obrało za towarzysza swoich samotnych przechadzek. Wierzę, że dusza jego znów się podniosła, gdy znajdował się u boku tego milczącego dziecka, które się nigdy nikomu innemu nie zwierzało, wierzę, iż sam czuł się znów dzieckiem pobożnym i dobrem.

— Jeżeli ją jednak prawdziwie kochał, dlaczego nie przyszło mu na myśl, iż nie mógł jej ofiarować mniej, jak właśnie miłość swoją? On jeden, z wyrzutków tego świata, czego chciał, o czem my-

ślał, towarzysząc tej córce hrabiów? O czem myślał złożony z urzędu proboszcz, kiedy ona zwierzała mu się ze swoich pobożnych marzeń? On, pijanica, awanturnik, którym jeszcze mógł każdej chwili zostać przy nadarzającej się sposobności, czego chciał u boku tego młodego dziecka, które marzyło o niebieskim oblubieńcu? Dlaczego nie uciekł od niej daleko? Czyżby nie lepiej dla niego było, aby jako żebrak, złodziej wałęsał się po okolicy, niż w tej ciemnej alei przechadzał się, i czuć się znowu dobrym i pobożnym, skoro życie, które prowadził, przecież cofnąć się nie da, a nieuchronnem też jest, że go Ebba Dohna pokocha?

— Nie sądz, że wyglądał, jak nędzny pijanica o zapadłych policzkach i zaczerwienionych oczach. Zawsze jeszcze był to wspaniały mężczyzna, piękny, silny, z postawą królewską i żelaznem ciałem, które umiało się oprzeć najdzikszeemu życiu.

— Czy on żyje jeszcze?

— Ach nie, teraz już umarł zapewne — to tak dawno się stało!

W duszy Anny Stjaernhök budzi się teraz strach przed tem, co czyni. Postanawia nigdy nie wyjawić hrabinie, kto jest ten, o którym mówi, lecz utrzymać ją w przekonaniu, że umarł oddawna.

— Wtedy był jeszcze młody—ciągnie dalej—ochota do życia znów napelniła mu duszę — posiadał on dar słowa i gorące, łatwo zapalne serce.

— Wreszcie nadeszła chwila, w której wyznał Ebbie Dohna swoją miłość. Nie odpowiedziała mu nic, lecz opisała swoje sny o niebieskim oblubieńcu i wymogła przysięgę, że będzie zwiastunem Pana.

jednym z tych, którzy Mu drogę przygotowują, aby przyspieszyć Jego powrót na ziemię.

— Cóż miał robić? Był przecież złożonym z urzędu proboszczem i żadna droga nie była do tego stopnia zamkniętą dla niego, jak właśnie ta, na którą wstąpić mu kazała. Ale nie miał odwagi powiedzieć jej prawdy. Nie miał odwagi zasmucać małego dziecięcia, które kochał. Przyrzekł wszystko, czego od niego żądała.

Szerszych rozpraw nie trzeba było pomiędzy nimi. Pewnem było, że kiedyś zostanie jego żoną. Nie była to miłość z zakłęciami i pocałunkami. Ledwie, że śmiał zbliżyć się do niej; wrażliwa była, jak kwiat delikatny. Niekiedy jednak podnosiły się jej brązowe oczy, szukając jego spojrzenia. Gdy w księżycowe wieczory siadywali na werandzie, opierała mu głowę na ramieniu, a wtedy całował jej włosy, czego ona nie zauważyła nawet.

— Jak widzisz, winą jego było, że zapomniał o przeszłości i przyszłości. Że był ubogi, niskiego rodu, o tem mógł zapomnieć, lecz powinien był pamiętać, że nadejść musi dzień, w którym i w niej zbudzi się ziemską miłość, a wtedy niebo zacznie walkę z ziemią, wtedy ona będzie zmuszona wybrać między nim a królestwem niebieskiem. A ona nie była stworzona do przeniesienia takiej walki.

Minęło jedno lato, jedna jesień i jedna zima. Kiedy nadeszła wiosna, a lód zaczął tajać, zachorowała Ebba Dohna. W dolinach huczały strumienie wezbrane w rzeki, wzgórza pokryte były śniegiem zlodowaciałym, drogi stały się niemożliwe dla sań, i dla wozów.

Hrabina Dohna chciała posłać po doktora do Karlsstadu—nie było żadnego bliżej. Ale rozkaz jej nie znalazł posłuchu; ani prośbą, ani groźbą nie mogła skłonić służby do wyprawienia się. Na kolanach błagała woźnicę, ale nie podjął się. Wpadła w konwulsje i histeryczny atak ze zmartwienia o córkę—hrabina Marta jest niepohamowana zarówno w bólu, jak w radości.

Ebba Dohna miała zapalenie płuc i życie jej wisiało na włosku—a doktora nie można było sprowadzić.

Wtedy pojechał do Karlsstadu domowy nauczyciel. Wyjeżdżać w taką porę, znaczyło to narażać się na pewną śmierć—ale on to uczynił. Jechał przez bałwany, zjeżdżał ze śliskich pagórków, niekiedy musiał w lodzie wyrąbywać stopnie dla konia, lub wydobywać go z głębokiego błota gliniastej drogi. Opowiadano, że doktor wzdragał się z nim jechać, on jednak zmusił go, przyłożywszy mu pistolet do piersi.

Kiedy wrócił, hrabina omal mu się do nóg nie rzuciła—Weź pan wszystko, co posiadam—wołała—moją córkę, moje dobra, mój majątek! Powiedz pan, czego żądasz?

—Córki pani hrabiny—odparł nauczyciel.

Nagle urywa Anna Stjaernhök.

—No, a dalej, cóż dalej?—pyta młoda hrabina Elżbieta.

—Dość już tego—odparła Anna, gdyż należy ona do tych nieszczęśliwych ludzi, którzy żyją w ustawicznej rozterce wewnętrznej. Cały tydzień ją ona dręczyła. Sama nie wie, czego chce. Co jej

się zdaje w jednej chwili dobre, w następnej już staje się złem. Teraz pragnie, aby nigdy nie była opowiadała tej historii.

—Zdaje mi się, że sobie żartujesz ze mnie, Anno. Nie wydaje ci się naturalnie, że *muszę* znać koniec tej historii?

—Niema co opowiadać. Chwila walki nadeszła, miłość zbudziła się w sercu Ebby Dohny, walcząc z miłością niebieską.

—Hrabina Marta opowiedziała jej o niebezpiecznej wyprawie, którą młodzieniec odbył z miłości ku niej i powiedziała, że w nagrodę za to przyrzekła mu rękę córki.

Usłyszawszy te słowa, wzniosła chora swoje brązowe oczy ze skargą i wyrzutem na matkę i powiedziała:

—Mamo, oddałabyś mnie oddalonemu proboszczowi, takiemu, który z własnej winy utracił prawo służenia Bogu, człowiekowi, który był złodziejem i żebrakiem?

—Ależ dziecko, kto ci to wszystko opowiadał? Sądziłam, że nic o tem nie wiesz.

—Dowiedziałam się przypadkiem—posłyszałam rozmowę gości o nim, właśnie wtedy się rozchorowałam.

—Ależ dziecko, pomnij, że on ci życie ocalił!

—Pamiętam tylko to, że mnie oszukał. Powinien mi być powiedzieć, kim jest.

—Mówi, że go kochasz.

—Kochałam go. Nie mogę kochać tego, kto mnie oszukał.

—Jakże on cię mógł oszukać?

— Tego mama nie zrozumie.

Nie chciała opowiadać matce o królestwie niebieskiem, o którym śniła, do którego urzeczywistnienia miał jej dopomódz ukochany.

— Ebbo, jeśli go kochasz, nie powinnaś się pytać, czem był, lecz poślubić go — odezwała się matka. — Kto ożeni się z hrabianką Dohna, stanie się tak bogatym i potężnym, że wszyscy zapomną o jego młodzieńczych wybrykach. Pamiętaj, że dałam mu słowo.

Młoda dziewczyna zbladła śmiertelnie.

— Mamo, powiadam ci, że jeżeli mnie wydasz za niego, wydrzesz mnie Bogu.

— Postanowiłam uczynić cię szczęśliwą — mówiła hrabina. — Jestem przekonana, że będziesz nią z tym człowiekiem. Udało ci się przecież uczynić go świętym niemal. Postanowiłam nie zwracać uwagi na różnicę stanu, zapomnieć, że jest ubogim i osłabionym, aby ci dać możność ocalenia go. Czuję, że czynię słusznie. Wiesz, że gardzę starymi przesądami.

Mówiła tak, bo nie może znieść, gdy się jej kto sprzeciwia. A może być, że myślała tak wtedy, gdy to mówiła. Nie można wiedzieć, co sądzić o hrabinie Marcie.

Młoda dziewczyna długo leżała na sofie po odejściu matki i walczyła ze swoim sercem. Ziemia zmagala się z niebem, miłość stawała przeciw miłości i kochanek lat dziecięcych zwyciężył. Leżąc, widziała na zachodzie niebo krwawo gorejące i zdało się jej, że to pozdrowienie dobrego króla, a że nie czuła się na siłach pozostania mu wierną.

gdyby nadal żyła, postanowiła umrzeć. Nie mogła inaczej postąpić, skoro matka jej pragnęła, aby należała do człowieka, który nie mógł służyć dobremu królowi.

Przystąpiła do okna, otworzyła je i pozwoliła wilgotnemu, zimnemu, wieczornemu powietrzu przeniknąć jej biedne, schorowane ciało.

Latwo jej było o śmierć. Była ona bowiem nieuniknioną, gdyby się choroba wznowila, co też nastąpiło.

— Nikt, prócz mnie, Elzbieto, nie wie, że ona sama szukała śmierci. Ja zastałam ją właśnie przy oknie. Słyszałam ją, majaczącą w gorączce, bo pragnęła mnie przy sobie mieć w ostatnich chwilach.

— Widziałam ją konającą, widziałam jak wyciągała ręce do purpurowego nieba i zgasła z uśmiechem, jak gdyby widziała kogoś wychodzącego z tego blasku zachodzącego słońca i zbliżającego się ku niej. Ja musiałam temu, którego jednak kochała, oddać jej pozdrowienie. Ja w jej imieniu musiałam prosić go o przebaczenie, iż nie mogła zostać jego żoną, ponieważ dobry król nie życzył sobie tego. Ale nie miałam odwagi powiedzieć temu człowiekowi, że był jej zabójcą. Nie miałam odwagi na barki mu rzucić takiego ciężaru. A przecież, czyż on, który miłość jej zdobył kłamstwem, nie był jej zabójcą? Alboż nie był nim, Elzbieto?

Młoda hrabina dawno już przestała się bawić niebieskimi kwiatkami. Teraz wstaje, a wiązanka opada na ziemię.

— Anno, ty mnie oszukujesz przez cały czas. Powiadasz, że to dawna historia, że ten człowiek

oddawna nie żyje. A ja wiem przecie, że dopiero lat pięć upłynęło od śmierci Ebby, a zresztą mówisz, żeś sama to wszystko przeżyła — a nie jesteś stara! — Powiedz mi, kto był owym mężczyzną.

Anna Stjaernhök roześmiała się.

— Chciałaś historyi miłości, opowiedziałam ci tedy taką, która ci i łzy wycisnęła i wywołała niepokój.

— Alboż to nieprawdziwe zdarzenie?

— Wymysł od początku do końca!

— Paskudna jesteś, Anno!

— Być może... Ale panie się już obudziły, panowie też wrócili do sali, trzeba wejść.

We drzwiach powstrzymał je Gösta Berling, który przyszedł zajrzeć, co robią.

— Proszę o chwilę cierpliwości — powiedział z uśmiechem. — Nie będę pań dręczył dłużej niż dziesięć minut, ale teraz muszą panie posłuchać kilku wierszy.

I opowiada im, że ostatniej nocy tak żywo śnił, jak nigdy przedtem, a mianowicie śniło mu się, że pisze wiersze. On, którego ludzie nazywali „poetą“, chociaż dotąd przezwisko to nosił zgoła niesłusznie, wstał pośród nocy i napół we śnie, na pół na jawie zasiadł do pisania. Rano znalazł na stole cały poemat. Nigdy czegoś podobnego nie przypuszczał o sobie.

I począł odczytywać.

Gdy skończył, odezwała się Anna żartobliwym tonem, lecz z gardłem ściśniętym trwogą:

— Mówią o tobie, Gösto, że więcej poematów przeżyłeś, niż napisali inni, którzy przez całe życie

nie innego nie robili, to też najlepiej chyba zrobisz, gdy powrócisz do dawnego systemu tworzenia; ten wiersz widocznie pisany był w nocy!

— Surowy z ciebie sędzia.

— Pisać coś takiego, gdzie tylko o śmierci i niedoli mowa. Nie wstydzisz się?

Gösta jednak nie zwraca uwagi na to, co ona mówi, lecz zdziwiony patrzy z osłupieniem na młodą hrabinę, siedzącą bez ruchu, jak posąg... Wydaje mu się blizką omdlenia.

Wtem z niesłychanym trudem zdobywa się na jeden wyraz: wyjdź!

— Kto ma wyjść? ja mam odejść?

— Proboszcz niech wyjdzie — wyjąkała.

— Elźbieto! Co mówisz?

— Pijanica proboszcz niech mój dom opuści!

— Anno, Anno! — woła Gösta — o czym ona myśli?

— Najlepiej zrobisz, gdy odejdziesz teraz, Gösto.

— Dlaczego mam odejść? — Co to wszystko ma znaczyć?

— Anno, powiedz mu, powiedz! — prosi hrabina Elźbieta.

— Nie, hrabino, niech mu pani sama powie!

Hrabina zaciska wargi i usiłuje opanować wzruszenie.

— Panie Berlingu — zaczyna, podchodząc ku niemu. — Posiada pan nadzwyczajny dar sprawiania, aby ludzie zapomnieli, kim pan jest. Do tej chwili nie wiedziałam. Właśnie co dopiero posłyszałam o śmierci Ebby Dohny i wiem, że tylko

pewność, iż człowiek, którego kochała, nie był jej godzien, wpędziła ją do grobu. Z pańskich wierszy poznałam, że pan był owym człowiekiem. Nie pojmuję, jak ktoś z pańską przeszłością śmie pokazał się na oczy uczciwej kobiecie. Nie rozumiem tego, panie Berlingu. Czy dość jasno się wyraziłam?

— Pani hrabina jasno się wyraziła. Na usprawiedliwienie swoje mogę tylko jedno przytoczyć. Byłem głęboko przekonany, że pani wiedziała o mnie wszystko. Nigdy nie starałem się nic ukrywać, ale do przyjemności chyba nie należy należeć większe nieszczęście swojego życia słyszeć obębniącem po ulicy, nie dopieroż samemu je rozgłaszać.

To powiedziawszy, wychodzi, a w tej chwili hrabina Dohna stawia wążką swą nóżkę na wiązance błękitnych gwiazdek.

— Zrobiłaś to, czego z całej duszy pragnęłam — odezwała się Anna Stjaernhök twardym głosem — ale teraz też koniec naszej przyjaźni. Nie sądzę, że przebaczę ci twoje względem niego okrucieństwo. Wygnałaś go od siebie, wyszydziłaś i obraziłaś, kiedy ja chętnie podzieliłabym z nim więzienie i chleb żebraczy. Ja go strzedz będę i bronić! Zrobiłaś, czego pragnęłam, ale ci tego nigdy nie przebaczę!

— Ależ, Anno, Anno!

— Gdy ci to wszystko opowiadałam, myślałam, że robiłam to z radością. Opowiadałam, a serce się rwało w kawały.

— Dlaczegoż więc to zrobiłaś?

— Dlaczego? Bo nie chciałam — nie chciałam, aby stał się kochankiem zameżnej kobiety.

PANNA MARYA.

Ach, cicho już! Cyt!

Brzęczy mi coś nad głową! To zapewne wpadła pszczoła.

Ależ cicho wreszcie! Co za woń! Naprawdę, czyż to nie lewkonia, rezeda, bez i narcyzy? To prawdziwe dobrodziejstwo w ten szary, jesienny wieczór w śródmieściu. Skoro tylko pomyślę o tem rozkosznym miejscu, zaraz poczyna wokół mnie pachnąć i bzykać i ani się spostrzegę, jak znajdę się w małym, czworobocznym ogródku pełnym róż, ogrodzonym żywopłotem.

W rogach stoją krzaki bzowe z wążkami, drewnianymi ławeczkami, a naokół grządek kwiatowych w kształcie gwiazdek i serc wążka, białym piaskiem wysypana ścieżka. Z trzech stron jest ogródek otoczony lasem. Jarzębiny i wilezyny, napół hodowane, pokryte pięknym kwiatem, rosną najbliżej ogrodu, miesząc swój zapach z zapachem bzowych krzaków. Za nimi stoi brzoza, a dalej zaczyna się las

sosnowy, właściwy las cichy i posepny, wyniosły, brodaty.

Z czwartej strony stoi mały, szary domek.

Ogródek, który mam na myśli, był przed sześćdziesięciu laty własnością staruszki, pani Moräus, utrzymującej się z hafciarstwa. Pozatem najmowała się ona do dworów okolicznych za kucharkę.

Kochani przyjaciele! Między wielu dobrymi rzeczami, których wam życzę, w pierwszej linii wymieniam krosna i ogródek pełen róż. Niech to będą wielkie, staroświeckie krosna, takie, przy których może pięć, sześć osób naraz haftować, przy których się idzie w zawody, kto jest najzwinniejszy i czyja strona wykazuje najpiękniejsze ściegi, przy których jada się pieczone jabłka i gra w gry towarzyskie wśród takiego śmiechu, że wiewiórki z przestraszu z drzew spadają. Na zimę krosna, a na lato ogródek różany! Nie duży ogród, w który trzeba więcej pieniędzy włożyć, niż się przyjemności wydobędzie z niego, lecz mały ogródek, któryby można obrobić własnoręcznie. Powinny w nim rosnąć małe krzaki rózańe pomiędzy grządkami, wianek niezabudowany niechajby ich stopy otaczał, mak w dużym kwiecie, który się sam zasiewa, niechajby wschodził wszędzie, zarówno na murawie, jak na żwirowej ścieżce, a na koniec trzebaby darninowej ławeczki słońcem wypalanej, na której siedzeniu i oparciach rosłyby cesarskie korony.

Staruszka, pani Moräus, wszystko to posiadała, a w dodatku trzy wesole, pracowite córki i mały domek przy drodze. Miała też uskładany na ciężkiej czaszy grosz na dnie starej skrzyni, grube, jedwabne

szale, krzesła o wysokich oparciach i doświadczenie w rozmaitych sprawach, potrzebne temu, kto sam zarabiać musi na życie. Najlepsze, co posiadała, to były krosna, które dostarczały jej pracy przez cały rok, i ogródek kwiatowy, który był jej rozrywką przez całe lato.

Należy też wspomnieć, że w małym domku pani Moräus mieściła się lokatorka, drobna, zasuszona stara panna, blisko czterdziestoletnia, odnajmująca pokój na poddaszu. Panna Marya, jak ją powszechnie nazywano, miała własny sąd o wielu rzeczach, jak to się zdarza ludziom, którzy dużo przesiadają w samotności i których myśli krążą około tego, co oko widziało kiedykolwiek.

Panna Marya sądziła, że miłość jest przyczyną i źródłem wszystkiego złego na tym biednym świecie.

Co wieczór, przed zaśnięciem, składała ręce i odmawiała wieczorną modlitwę. Skończywszy Ojcze nasz, dodawała zawsze prośbę, aby ją Bóg uchronił od miłości.

— To byłoby przecież dla mnie prawdziwym nieszczęściem—mówiła.—Jestem brzydka, stara i uboga. Boże, ustrzeż mnie od zakochania się!

Siedziała całymi dniami w izdebce na poddaszu, w małym domku pani Moräus i działa franki i kapy, które sprzedawała wieśniakom i obywatelstwu dworów okolicznych. Niebawem byłaby sobie mogła już złożyć na małej domeczku. Mały domek, na wzgórk, naprzeciw kościoła w Svartsjö był jej upragnionem marzeniem—domek wysoko leżący, którego roztaczałby się rozległy widok—był celem jej pragnień. O miłości jednak nie chciała nic słyszeć.

Gdy w letnie wieczory posłyszała dźwięk skrzypiec grajka, który siedząc na płocie, przygrywał do tańca młodzieży, a ta płaszała, że kurz kłębami się unosił, obchodziła lasem, byle tylko nie nie widzieć i nie słyszeć.

W drugi dzień Bożego Narodzenia, gdy młode dziewczęta przychodziły w liczbie pięciu lub sześciu do pani Moräus, aby je ona wraz z córkami ubrała w mirtowe wianki i wysokie, szklanemi paciorkami zdobne korony, w pasy z jedwabiu i sztucznych róż i w suknie dołem przybrane girlandą z kwiatów sztucznych — zamykała się u siebie w pokoju, aby nie patrzeć, jak je strojono na miłosne gody.

Kiedy siostry Moräus w zimowe wieczory się działy przy krosnach i duży pokój jaśniał pogodną wesołością, kiedy jabłka piekły się w piecu, a piękni Gösta Berling lub dobry Ferdynand, przyszedłszy w gościnę, żartowali z dziewczętami, wyciągając i nitki z igieł, lub tak im dogadywali, że zmieszane robiły krzywe ściegi, kiedy pokój rozbrzmiewał śmiechem, zabawą i rozmową, a ręce pod krosnami się spotykały, wtedy zagniewana składała robotę i wychodziła, bo nienawidziła miłości i wszystkiego co z nią ma związek.

Ale zbrodnie miłości znała i o nich umiała opowiadać. Nie mogła pojąć, że bożek Amor śmiejesze pokazywać się na ziemi, że nie dał się ostraszyć skargami opuszczonych, klątwami tych, których uczynił zbrodniarzami, jękami wszystkich tych, których wprzął w znienawidzone jarzmo. Nie mogła pojąć, że skrzydła unoszą go tak lekko i swobodnie,

że nie zapadł się w niezgłębianą przepaść, dręczony wstydem i żalem.

I ona była niegdyś młoda, jak inne, ale miłości nigdy nie lubiła. Nigdy nie dała się skusić tańcem i pieszczotą. Zakurzona, z oberwanemi strunami wisiała gitara jej matki na strychu. Nigdy nie śpiewała do jej wtóru pieśni o miłości.

Na oknach stały w wazonikach róże jej matki, ledwie, że je podlewała. Nie lubiła kwiatów, tych dzieci miłości. Listki na nich były zakurzone — między gałązkami snuły się pajęczyny, a pączki nigdy się nie rozwijały. W ogródku pani Moräus, gdzie motyle fruwały i ptaszki śpiewały, gdzie wonne kwiaty przesyłały rojom motyli miłosne pozdrowienia, gdzie wszystko mówiło o tem, czego nienawidziła — bywała bardzo rzadko.

Zdarzyło się, że gmina Svartsjö sprawiła organy do kościoła. Było to w lecie, na rok przed zajęciem Ekeby przez rezydentów. Do miasteczka przybył młody organmistrz i sprowadził się do pani Moräus, a mianowicie zajął drugą izdebkę na poddaszu.

Że młody organmistrz nie był mistrzem w swoim zawodzie — być może. Ale nie ulega wątpliwości, że chłopiec z niego był wesoły, a z oczu promieniał mu blask słoneczny. Dla każdego miał on grzeczne słówko, dla starych i młodych, ubogich, czy bogatych. Niebawem też stał się przyjacielem swoich współlokatorek — ba, więcej niż przyjacielem.

Gdy wieczorem wracał z roboty, trzymał pani Moräus nici do zwijania lub pracował w ogródku z dziewczętami. Deklamował „Aksel“ lub śpiewał

„Fritgola“. Podnosił kłębek panny Maryi za każdym razem, gdy jej spadł, a spadał często, nawet tyle sprawił, że jej stary zegar ścienny znów chodzić zaczął.

On nie opuścił nigdy zabawy, nie przetańczywszy ze wszystkimi, od najstarszej kobiety do najmłodszej dziewczynki, a jeżeli go jakaś przykreść spotkała, przysiadł się do pierwszej spotkanej istoty płci żeńskiej i zwierzał się. Tak, on był mężczyzną, jakiego wymarzyły sobie kobiety w rojeniach swoich. Nie twierdzą, że on którejś z dziewcząt mówił o miłości, ale gdy zabawił kilka tygodni w małej izdebce pani Moräus, zakochały się w nim wszystkie córki, a nawet biedna panna Marya przekonała się, że na próżno słała modły swoje.

Nastał czas smutku i czas radości. Lzy padały na krosna, zamazując znaki kredowe. Wieczorem często siadywała jakaś blada marzycielka w altance bżowej, a na górze w małym pokoiku panny Maryi przytwierdzono znowu struny do gitary i przy ich wtórze brzmiały staroświeckie pieśni miłosne, których nauczyła się niegdyś od swojej matki.

Młody organmistrz tymczasem żył sobie spokojnie i swobodnie, rozdzielając uśmiechy i drobne przysługi między rozkochane kobiety, spierające się o niego, gdy bawił za domem, na robocie. Nakoniec nadszedł dzień odjazdu.

Wózek oczekiwał już pod domem, rzeczy były spakowane, a młodzian się żegnał. Pocałował w rękę panią domu, objął płaczące dziewczęta, całując je serdecznie. Sam się nawet rozplakał, że musi od-

jeżdżać, gdyż rozkoszne lato przeżył w tym domku. Wreszcie rozglądał się też za panną Maryą.

I ujrzał ją, jak odświętnie ubrana schodziła po wązkich schodkach. Na szyi, na szerokiej, zielonej, jedwabnej wstążce uwiesiła sobie gitarę, a w ręku trzymała pęk miesięcznych róż, gdyż tego roku zakwitły różane krzaki jej matki.

Stanąła przed młodzieńcem, zabrękała na gitarze i zaśpiewała:

Odjeżdżasz od nas precz! Ach, wróć nam kiedy, wróć!
Wszak żegnamy cię z boleścią,
Nie zapomnij przyjaciół, gdy będziesz szczęśliwy
Wspominać cię będziem z miłością.

Przypięła mu róże do surduta i pocałowała go w same usta. Poczem wybiegła napowrót po schodkach do siebie—biedna starucha!

Miłość zemściła się na niej i uczyniła ją ogólnem pośmiewiskiem. Ona jednak nigdy więcej nie narzekała na miłość. Nie odłożyła już gitary i nigdy nie zaniedbała pielęgnowania różanych krzaków matki.

— Raczej smutek przy miłości, niż radość bez niej—mawiała potem.

Czas upływał. Majorową wypędzono z Ekeby, rezydenci przyszedli do władzy i jak wiemy, Göscie Berlingowi pokazano drzwi pewnego razu, gdy hrabinie z Borgu odczytywał swój poemat.

Kiedy opuszczał zamek, ujrzał zajeżdżające jakieś sanie. Rzucił okiem na drobną kobietę, siedzącą w środku. Jakkolwiek smutno mu już było na du-

szy, widok ten jeszcze powiększył ów smutek. Uciekł copredzej, aby go nie poznano, lecz nie mógł się oprzeć przecuciu zbliżającego się nieszczęścia. Czyż rozmowa w salonie cudem jakimś sprowadziła tu tę kobietę? Nieszczęście nigdy nie chodzi samopas.

Wybiegła służba, rozpięto wory na nogi, odrzucono dery. Któż to zajechał? Czyż to rzeczywiście Marta Dohna, stara hrabina?

Była ona najweselszą i najlekkomyślniejszą z kobiet. Rozkosz światowa uczyniła ją swoją królową. Zabawy i rozrywki były jej poddanymi. Taniec, przyjemności i awanturki dostały się jej w udziale, gdy rozdawano przeznaczenia. Dobięgała pięćdziesiątki, ale należała do tych mądrych ludzi, którzy lat swoich nie liczą.

— Kto nóg do tańca, ust do uśmiechu poruścić nie może—mawiała—ten jest stary, ten zna ciężar lat, nie ja.

W młodości jej radość nie zaznała niezamąconego spokoju na swoim tronie, ale niepewność i chwiejność czyniły wesóły żywot jej królewskiej mości jeszcze weselszym. Jej królewska mość ze skrzydłami motylemi dawała jednego dnia przyjęcie w komnatach dworu na zamku w Sztokholmie, tańczyła nazajutrz w Paryżu, odwiedziła obóz Napoleona, z flotą Nelsona przepłynęła morze błękitne, była obecną na kongresie wiedeńskim, w przededniu sławnej bitwy odważyła się wyprawić na bal do Brnkseli. A gdzie uciecha jakaś była przewidywaną, towarzyszyła jej nieodłącznie hrabina Marta. Tańcząc, bawiąc się, żartując, przebiegała świat. Czego ona nie widziała, czego nie przeżyła! Obtańcowy-

wała trony, grała w *écarté* o księstwa, śmiała się, gdy niszczące wojny szalały po Europie.

Kiedy wesołość chwilowo opuszczała świat zmieniony w pole bitwy, zwykła była na krótszy lub dłuższy czas przenosić się do starożytnego pałacu nad jeziorem Löf. Tam też powędrowała, gdy księstwa i dwory wydały się jej nazbyt poważne w czasie świętego przymierza. W takiej chwili uważała za stosowne uczynić Gostę Berlinga domowym nauczycielem swego syna. Dobrze jej wtedy było na zamku. Nigdy wesołość nie miała piękniejszego siedliska. Wtedy brzmiały tam śpiewy i muzyka, bawili żądni przygód mężczyźni i piękne, pełne życia kobiety. Wtedy nie brakło uczt, ani balów, przejażdżek łodzią po jeziorach, księżycem oblanym, ani szliktad poprzez ciemne lasy, ani wzruszających przygód, ani radości, ani smutków. Po śmierci córki jednak zaniechała swoich przyjazdów do Borgu, od lat pięciu nie widziała zamku. Teraz przyjechała, zobaczyć, jak synowa jej znosi życie wpośród lasów sennowych, śniegów po pas i niedźwiedzi. Poczytywała sobie za obowiązek przekonać się, czy głupi Henryk nie zdręczył jej na śmierć swoim nudziarstwem. Chciała grać rolę anioła opiekuńczego. Przywiozła z sobą szczęście i słoneczne uśmiechy, zapakowane w czterdziestu skórzanych kufrach — wesołością nazywała się jej pokojowa, figlem woźnica, zabawą dama do towarzystwa.

A gdy wybiegła po stopniach, przyjęto ją z otwartymi ramionami. Dawne jej mieszkanie na parterze gotowe było na jej przyjęcie. Powoli wszystko znalazło się pod dachem: jej służący, pokojowa,

dama do towarzystwa, czterdzieści kufrów skórzanych, trzydzieści pudeł na kapelusze, jej necessairy, jej szale i futra. Wszędzie panował gwar i zamieszanie—drzwi zatraskiwano, biegano to w dół, to na górę. Nie trudno było domyślić się, że przjechała hrabina Marta.

Było to pewnego wiosennego wieczora, cudownego wieczora, chociaż był zaledwie kwiecień, a lód jeszcze nie stopniał. Panna Marya siedziała na górze, w swojej izdebce, przy otwartym oknie, brząkała na gitarze i śpiewała.

Tak utonąła w pieśni i wspomnieniach, że nie zauważyła przejeżdżającego powozu, który zatrzymał się pod małym domkiem. W powozie siedziała hrabina Marta i bawiła się widokiem panny Maryi, siedzącej przy oknie z gitarą, przewieszoną u szyi, z oczyma w niebo wzniesionemi, śpiewającej dawno zapomniane piosenki miłosne. Wreszcie hrabina wysiadła z powozu i weszła do pokoju, w którym młode dziewczęta siedziały naokół krosien. Nie była ona dumna; powiew rewolucyi przeniknął ją i wlał w jej płuca nieco świeżego powietrza.

Zamówiła jakieś hafty u pani Möräus i chwaliła jej córki. Rozglądała się po ogródku i opowiadała o swoich licznych przygodach w podróży. Bo ona zawsze miewała jakieś przygody. Nakoniec wydrapała się na stryszek po schodach wązkich i stromych i odwiedziła pannę Maryę w jej izdebce.

Tu świdrowała swojemi czarnemi oczyma samotną, drobną istotę i schlebiała melodyjnemu gło-

sowi biednej starej pannie. Kupiła nawet franki u niej; nie mogła mieszkać na zamku bez szydelkowych firanek u wszystkich okien, na wszystkich stolikach chce mieć szydelkowe serwetki panny Maryi. Potem chwyciła gitarę i zaczęła jej śpiewać o miłości i rozkoszy. Opowiadała jej rozmaite historie, tak, że panna Marya uczuła się nagle przeniesioną w wesoly, huczny świat. A śmiech hrabiny był taką muzyką, że zmarznięte ptaszęta w ogródku zaczęły śpiewać, słysząc go, a twarz jej — już nie piękna wcale, gdyż cerę zepsuło jej bielidło, a około ust potworzyły się fałdy nizkiej zmysłowości — wydała się pannie Maryi tak piękną, że nie mogła pojąć, jak zwierciadło mogło znieść zniknięcie jej, skoro ją raz odbiło na swojej lśniącej tafli. Odchodząc, ucałowała pannę Maryę i zaprosiła ją do Borgu.

Serce panny Maryi było puste, jak gniazdo jaśkółcze na Boże Narodzenie. Była wolną, ale jak dawni, obdarzani wolnością niewolnicy, wzdychała do kajdan.

Hrabina raz wraz zapraszała ją do Borgu; odgrywała przed nią sztuki, opowiadała jej o swoich wielbicielach, a panna Marya śmiała się tak, jak nigdy w życiu. Poprzyjaźniły się bardzo. Wkrótce wiedziała hrabina wszystko o młodym organmistrzu i o pożegnaniu z nim. Raz, szarą godziną, doprowadziła pannę Maryę do tego, że siadła w oknie niebieskiego pokoiku, przewiesiła sobie przez ramię gitarę i śpiewała pieśni miłosne. Hrabina spoglądała na te suche, chude palce, na brzydką, małą głowę starej panny, odrzynającą się na tle różowego od zachodu nieba i wmawiała w nią, że wygła-

da jak zakochana księżniczka. Wszystkie pieśni były o kochających pasterkach i nieczulych pasterkach, śpiewała je zaś panna Marya głosem tak cieniutkim, piskliwym, że łatwo sobie wyobrazić, jaką pyszną zabawę miała hrabina z tej komedyi.

W jakiś czas potem wydano ucztę na zamku, czemu się nikt nie dziwił, należało bowiem uczcić przyjazd matki hrabiego. Jak zwykle, wesoło było i tym razem. Zebranie było niewielkie — sami sąsiedzi.

Jadalnia położona była na parterze, po biesiadzie nie przechodzili już goście na górę, lecz udali się do pokojów hrabiny Marty, znajdujących się również na parterze. Wtem wzięła hrabina gitarę panny Maryi i zaczęła coś śpiewać. Hrabina Marta była to osoba wesoła, umiała naśladować głos i mimikę, to też przyszło jej na myśl naśladować pannę Maryę. Wywróciła zatem oczy do góry i zaczęła śpiewać wysokim, krzykliwym głosem.

— Dość, dość, pani hrabino! — błagała panna Marya.

Ale hrabinie Marcie sprawiało to przyjemność, a przeważna część gości także nie mogła się wstrzymać od śmiechu, chociaż czuli dobrze, że sprawiają przykrość starej pannie,

Hrabina wzięła z wazonu garść suchych liści różanych, przystąpiła z tragicznym gestem do biednej ofiary i zaśpiewała:

Odjeżdżasz od nas precz! Ach, wróc nam kiedy, wróc!
Wszak żegnam cię z boleścią.
Nie zapomnij przyjaciół, gdy będziesz szczęśliwy.
Wspominać cię będziem z miłością.

Śpiewając, sypała jej liście na głowę. Goście się śmiali, ale panna Marya zawrzała gniewem, zdało się, że hrabinie wydrapie oczy.

— Hrabina jest niedobra — zawołała. — Żadna porządna kobieta nie powinna by z nią żyć!

To rozzłościło hrabinę.

— Precz z panną! — krzyknęła. — Dość mam już jej waryactw!

— Dobrze, pójdę sobie — odezwała się panna Marya — ale proszę mi zapłacić za franki.

— A to stare pudło! — oburzyła się hrabina. — Za taką lichotę jeszcze zachciewa się jej pieniędzy! Zabierz to sobie! Nie chcę tego paskudztwa widzieć więcej.

I hrabina zdiera franki i rzuca jej pod nogi wściekła z gniewu.

Nazajutrz prosiła młoda hrabina teściową, aby się przeprosiła z Maryą — ale hrabina nie chciała tego uczynić. Znudzila się jej. Wtedy hrabina Elżbieta pojechała do panny Maryi sama, kupiła od niej wszystkie franki i zawiesiła je w oknach na piętrze. Było to dostateczne zadośćuczynienie.

Hrabina Marta drwiła z upodobania swojej synowej do szydełkowych franek. Ale gniew swój umiała dobrze ukryć i przechować go świeżym i niezatartym przez lata całe, bo hrabina Marta posiadała rozmaite talenty.

STRYJ KRZYSZTOF.

W skrzydle rezydenckiem przebywał pewien stary ptak drapieżny. Siadywał on zawsze w kącie pod piecem i przestrzegał, aby ogień nie wygasł. Siwy był i rozczochrany stale. Mała głowa z wielkim nosem i napół przymkniętymi oczyma opadała ciężko z długiej, chudej szyi na brązowy kołnierz futrzany, ponieważ ptak drapieżny latem i zimą nosił futro.

Należał on do roju, który towarzyszył wielkiemu cesarzowi w jego wyprawie europejskiej, ale jakie miano i tytuł wtedy nosił, nikt nie umie powiedzieć. W Wermlandzie wiadano jedynie, że brał udział w wielkich wojnach, że był w krwawych bitwach i po roku 1815 opuścił swoją niewdzięczną ojczyznę. Znalazł schronienie u szwedzkiego następcy tronu, który mu poradził zniknąć w odległym Wermlandzie. Czasy były obecnie takie, że ten, na którego imię cały świat drżał, rad był, że nikt nie zna jego imienia, niegdyś tak straszego.

Dał słowo honoru następcy tronu, że Wermlandu nie opuści i bez koniecznej potrzeby nie będzie opowiadał, kim jest. Przybył do Ekeby z odręcznym piśmie następcy tronu do majora, w którym to piśmie polecano go serdecznie. I otwarły się przed nim podwoje rezydenckiego skrzydła.

Początkowo łamano sobie głowy, kim może być ta nowa osobistość, ukrywająca się pod przybranym nazwiskiem. Z czasem jednak stał się rezydentem, Wermlandczykiem. Wszyscy nazywali go stryjem Krzysztofem, nie wiedząc właściwie, z kąd przyszedł do tego imienia.

Ale drapieżnemu ptakowi trudno usiedzieć w klatce; przywykł do czegoś innego, niż skakanie z jednego patyczka na drugi i do wydzielanego przez dozorcę pokarmu.

Ongi rozpałały mu krew niebezpieczeństwa wojny—obmierzył mu duszny spokój. I inni rezydenci nie były to wcale oswojone ptaki, ale w żadnym krew tak nie grała, jak w stryju Krzysztofie. Jedynie polowanie na niedźwiedzia mogło ożywić nieco jego stępałe siły żywotne — polowanie i kobieta — jedna kobieta.

Odżył nanowo, gdy przed dziesięciu laty po raz pierwszy zobaczył hrabinę Martę, wtedy już wdowę. Kobieta to była kapryśna jak wojna, kusząca jak niebezpieczeństwo, kipiąca życiem, zuchwiała—kochał ją.

I oto siedzi tu, postarzały, posiwiwały, nie mogąc się oświadczyć. Od lat pięciu jej nie widział. Więdl i gasł powoli, jak orzeł w klatce. Z każdym rokiem stawał się suchszym, bardziej zmarzniętym,

głowę zanurzał głębiej w futro i przysuwał się bliżej do pieca.

Siedzi tak samo zziębnięty, rozczochrany ran-kiem tego dnia, kiedy wieczorem ma być strzelanie na Wielkanoc. Wszyscy rezydenci wyszli, on sam siedzi w kącie pod piecem.

— Ach, stryju Krzysztofie! stryju Krzysztofie— czyż nie wiesz?

Rozkoszna wiosna nadeszła. Natura budzi się z ołowianego snu, a w błękitnych obłokach igrają wesoło uskrzydłone istoty. Tuż obok siebie, jak kwiaty na krzaku dzikiej róży, błyszczą w pośród obłoków. Jak gdyby tysiące dzwonów wydzwaniały, głosz-szą światu:

— Radość i wesele! Radość i wesele. Nadeszła rozkoszna wiosna!

Ale stryj Krzysztof siedzi bez ruchu i nie rozumie. Pochyla głowę na zeszywniałe palce i myśli o gradzie kul i o drzewie sławy, rosnącym na polu walki. Przed okiem jego duszy zakwitają róże i laury, nie potrzebujące pięknej, łagodnej wiosny.

Jakież nieszczęśliwy ten biedny, samotny cudzoziemiec, siedzący w tem skrzydle rezydentów, bez drużyny, bez ojczyzny, nie słyszący dźwięku ojczystej mowy, którego czeka bezimienny grób na cmentarzu w Broby! Cóż on temu winien, że jest orle stworzonym do mordu i szerzenia śmierci?

— O, stryju Krzysztofie, dość już długo tonę w zadumie! Ożyj, napij się życiodajnego nektaru. Wiedz, że dziś przybył list do majora, królew-

list, zaopatrzony szwedzką pieczęcią państwową. Jest zaadresowany do majora, ale dotyczy ciebie. Dziwnie wyglądasz, gdy czytasz ów list, o, ty ptaku drapieżny! Oko nabiera blasku, głowa się podnosi. Widzisz otwarte drzwiczki od klatki, widzisz, że cały świat stoi otworem przed twojemi stęsknionymi skrzydłami.

Stryj Krzysztof zanurza ręce aż na samo dno kufra. Wydobywa starannie przechowany, złotem haftowany mundur i wdziewa go. Na głowę wsadza kapelusz z piórami i wypada z Ekeby na swoim wspaniałym, białym rumaku.

To co innego, niż siedzieć w kącie pod piecem! Teraz też spostrzega, że nadeszła wiosna.

Podnosi się w strzemionach i popędza konia. Dolman i futro rozwiewają mu się, pióropusz na kapeluszu się chwieje. Odżył wraz z ziemią, zbudził się z długiego snu zimowego. Stare złoto błyszczy jeszcze. Z pod trójgraniastego kapelusza spoziera dumnie śmiała twarz wojownika.

Wspaniała jazda! Wszędzie, gdzie przejedzie, wytryskają strumienie, wykluwają się z ziemi zawilce. Ptaki przelotne hałasują wesoło wokół uwolnionego więźnia. Cała natura dzieli z nim radość.

Jedzie jak piękny zwycięzca. Sama wiosna unosi się przed nim. A obok stryja Krzysztofa pędzą na koniach towarzysze broni: szczęście wspinające się na siodło, sława na wspaniałym rumaku i miłość na ognistym arabie.

Wspaniała jazda! wspaniałe jeździec. Drozd woła za nim:

— Stryjaszku Krzysztofie, stryjaszku Krzysztofie! dokąd jedziesz? dokąd dążysz?

— Do Borgu, oświadczyć się! Do Borgu, oświadczyć się!—odpowiada jeździec.

— Nie jedź do Borgu! Nie jedź do Borgu! Kawalerem jesteś, możesz żyć bez trosk!—woła za nim drozd.

On jednak nie słucha ostrzeżeń. Z góry w dół i z dołu na górę jedzie, póki nie stanął na miejscu. Zeskoczył z siodła—wprowadzono go do hrabiny.

Wszystko idzie dobrze. Hrabina Marta jest ładna, stryj Krzysztof widzi, że nie byłaby od tego, aby nosić jego nazwisko i towarzyszyć mu na jego zamek. Siedzi jednak i odwleka stanowczą chwilę, w której pokaże jej pismo królewskie. Rozkoszuje się samem oczekiwaniem.

Ona opowiada i zabawia go rozmaitemi dyktandami. On śmieje się ze wszystkiego, podziwia wszystko. Ale ponieważ siedzą w jednym z pokojów, w których hrabina Elżbieta pozawieszała firanki panny Maryi, opowiada też historię owych firanek.

— Widzi pan — kończy — widzi pan, taka jestem; a tu wiszą owe firanki, aby mi zawsze przypominały moje grzechy. Dziwnego rodzaju kara. Firanki obrzydliwe szydełkowe robótki!

Wielki rycerz, stryjaszek Krzysztof, patrzy na nią płomiennemi oczyma.

— Ja jestem biedny i stary — powiada. — I siedziałem dziesięć lat w kącie pod piecem, tęskniąc do swojej ukochanej. Czy może hrabina i z tego śmieje?

— Ach nie, to zupełnie coś innego — odpowiada.

— Bóg odebrał mi mienie i ojczyznę, zmuszony byłem jeść cudzy chleb—odezwał się stryj Krzysztof poważnym głosem—nauczyłem się szanować ubóstwo.

— I pan także!—woła hrabina i podnosi ręce w górę. — Jacy też ludzie cnotliwi! Mój Boże, jacy się wszyscy zrobili cnotliwi!

— Tak, a proszę sobie zapamiętać — jeżeli mi Pan Bóg wróci kiedyś władzę i majątek, postaram się lepszy z nich użytek zrobić, niż podzielić je ze światową damą, bezduszną istotą, która naigrawa się z ubóstwa.

— Postąpi pan bardzo dobrze, panie Krzysztofie!

Stryjaszek Krzysztof opuszcza zamek, dosiada konia i wraca do Ekeby, ale samotny, nawet drozd nie nawołuje go już — nie widzi uśmiechającej się wiosny.

Przybywa do Ekeby właśnie w chwili, gdy strzały wielkanocne przebrzmiały i spalono „Wielkanocną czarownicę“. Wielkanocna czarownica jest to ogromny chochoł słomiany, którego twarz stanowią stare łachmany, na których oczy, nos i usta narysowane są węglem. Ubrany on jest w zniszczone suknie babki z Dobroczyńności, przy boku ma po grzebacz z długą rączką i miotłę, a tutkę z maścią na szyi. Tak przybrana gotowa jest do jazdy na Blakulla ¹⁾.

¹⁾ Nasza Łysa góra.

Major Fuchs nabija strzelbę i raz w raz strzela w powietrze. Potem roznieca się ogień z chróstu, rzuca się nań czarownicę i pali się ją. Rezydenci, jak widzimy, czynią wszystko, co jest w ich mocy, aby w stary, wypróbowany sposób zniszczyć władzę złych duchów.

Stryj Krzysztof stoi i przypatruje się z ponurą miną. Nagle wrywa królewski list z po za wylogów rękawa i ciska go w ogień. Bóg jeden wie, co sobie wtedy myślał. Może wyobrażał sobie, że hrabina Marta we własnej osobie tam płonie? Może mu się zdawało, że już niema na tym świecie nic godnego, skoro kobieta, którą tyle lat kochał, składała się tylko z lachmanów i słomy?

Wraca do rezydenckiego skrzydła, rozpala ogień na kominku i chowa swój mundur. Znów siaduje w kącie pod piecem, a z każdym dniem bardziej siwieje i staje się bardziej rozczochranym — umiera z dnia na dzień, jak stare ptaki więzione.

Przestał być więźniem, ale nie pragnie zrobić użytku ze swojej wolności. Świat ma otwarty — czekają go zaszczyty, życie. Ale jemu brak siły do rozwinięcia skrzydeł do lotu.

DROGI ŻYCIA.

Ciężkie są drogi, któremi ludzie na ziemi kroczą muszą.

Pustynne to drogi, błotniste, strome.

Dlaczegoż tyle trosk zaznać trzeba, aby się w pustyni znaleźć, zapaść się w bagno lub spaść z góry? Gdzież owe małe kwaciarki, gdzież owe księżniczki z bajki, w których ślady róże zakwitają; gdzież te ślady, które przykre drogi mają kwiatami przyrzucić?

Gösta Berling postanowił się ożenić. Szuka tedy oblubienicy, która byłaby dość biedną, dość marną, by odpowiadała jemu, szalonemu proboszczowi. Piękne, szlachetne kobiety kochały go, ale żadna nie zaproponuje mu poślubienia go. Kogoż ma wybrać? Czy znajdzie kogo?

Czasami przychodzi do Ekeby młoda dziewczyna z ustronnej, lesistej okolicy, położonej wysoko w górach, sprzedająca miotły. W tamtej stronie, gdzie przeważnie panuje ubóstwo, a często i nędza,

rodzi się dużo idiotów; należała do nich owa roznosicielka mioteł.

Ale piękna jest. Bujne, czarne włosy splecione nosi w dwie kosy tak grube, że z trudem unieść je może na głowie; policzki ma delikatnie zaokrąglone, nos równy, niezbyt duży, oczy niebieskie. Jest ona jedną z owych melancholijnych, podobnych do madonn typów piękności, spotykanych do dziś dzień między pięknymi dziewczętami, nad jeziorem Löl żyjącymi.

A więc znalazł Gösta odpowiednią oblubienicę: napół szalona roznosicielka mioteł będzie stosowną żoną szalonego proboszcza. Chyba nie znajdzie się nic odpowiedniejszego. Musi tylko przyjechać do Karlstadu zamówić obrączki, a potem będą ludzie mieli uciechę. Raz jeszcze niech się uśmieją z Gösty Berlinga, gdy się zaręczy z dziewczyną, a później z nią się ożeni. Tak, niech się śmieją. Alboż udał mu się weselny figiel?

Ciężkie są drogi, któremi ludzkość kroczyć musi—pustynne to drogi, błotniste, strome.

Czyż odepchnięty wyrzutek ma inną drogę, niż drogę złości, drogę trosk i drogę nieszczęścia?

Cóż to zaszkoździ, chociażby spadł, zabił się? Czy znajdzie się ktoś, ktoby go powstrzymał? Czy znajdzie się ktoś, ktoby mu podał pomocną dłoń, chłodzący napój? Gdzież owe małe kwiaciarki, gdzież owe księżniczki z bajki, gdzież wszystkie te istoty, które rozrzucać miały róże po przykrych ścieżkach?

Nie, nie, młoda, łagodna hrabina z Borgu nie przeszkodzi Goście Berlingowi w wykonaniu planu. Będzie dbała o swoją dobrą sławę, ulęknie się gnie-

wu męża i nienawiści swojej teściowej, nie uczyni nic, aby go powstrzymać.

Podczas długiego nabożeństwa w Svartjö pochyli głowę, złoży dłonie i modlić się będzie za niego. Bezsenne noce będzie spędzała, oplakując go; ale nie ma kwiatów, aby je rzucić na drogę wykłętą, nie ma kropli wody, aby ugasić jego pragnienie, nie ma lekkiego uścisku dłoni, któryby go odwiódł od rzucenia się w przepaść.

Goście Berlingowi nie zależy na tem, by wybraną swoją ustroić w jedwabie, ozdobić klejnotami. Pozwala jej jak dotąd chodzić z miotłami od zagrody do zagrody, ale urządzi na Ekeby wielkie przyjęcie, na które sprosi znakomitych panów i damy z całej okolicy i ogłosi na niem swoje zaręczyny. Wtedy wywoła ją z kuchni, taką, jaką będzie po swojej długiej wędrówce, w sukniach zakurzonych i zbrukanych, może podartych, nieuczesaną, z dzikiem spojrzaniem, mówiącą od rzeczy. I zapyta gości, czy nieodpowiednią sobie wybrał narzeczoną, czy szalony proboszcz nie powinien być dumny z tak pięknej oblubienicy, z jej słodkiej twarzy madonny, z niebieskich, marzycielskich oczu? Pragnął on, iżby przed czasem nikt o tem nie wiedział, ale nie udało mu się zachować sprawy w tajemnicy, a między innymi dowiedziała się też o niej hrabina Dohna.

Cóż jednak mogła uczynić, aby mu w tem przeszkodzić? Nadszedł dzień zaręczyn—zmierzch zapadł. Hrabina stała w niebieskim pokoiku, spoglądając ku północy. Zdaje się jej nawet, że może dojrzeć Ekeby, chociaż zasłaniają jej mgła i lzy własne. Widzi tak wyraźnie duży, trzypiętrowy dom, w którym

błyszcza trzy rzędy oświetlonych okien, wyobraża sobie, jak będą nalewali do kieliszków szampana, jak będą wznosili toasty, a Gösta Berling ogłosi swoje zaręczyny z roznosicielką miotel.

Gdyby mogła znajdować się blisko niego i delikatnie położyć mu rękę na ramieniu, lub tylko spojrzeć na niego serdecznie, czyżby nie zawrócił z niebezpiecznej drogi? Skoro słowo z jej ust popchnęło go do tak rozpaczliwego czynu, nie powstrzymałoby go jej słowo również?

Wzdrygnęła się na myśl o niegodziwości, którą chce popełnić wobec tego biednego, nieszczęsnego dziecka, któremu pozwoli się kochać może jeden dzień tylko. A może — tu wstrząsnęła się jeszcze bardziej wobec zbrodni, którą popełniłby względem siebie samego... może zechce ją na wieki przykuć sobie jak kamień u szyi, aby duchowi swemu odebrać możliwość podniesienia się?

A gdy wszystko dobrze rozważyła, winną była ona. Ona potępieniem swoim wepchnęła go na tę drogę. Ona, która powinna błogosławić, uśmiezczać, wplata jeszcze jeden cieniutki do cierniowej korony grzesznika — dlaczego?

Tak, teraz wie, co ma czynić. Każe zaprzędnąć do sanek, przejedzie jezioro, wpadnie do sali w Ekeby, stanie naprzeciw Gösty Berlinga i powie mu, że nim nie pogardza, że nie wiedziała, co mówi, gdy go z domu wypędzała. Nie, czegoś takiego nie mogłaby uczynić — zmiesza się, nie będzie mogła słowo wydobyć z siebie. Jest przecież mężatką, musi być ostrożną. Podałaby powód do rozmaitych plotek. Ale jeśli tego nie uczyni — co się z nim stanie?

Musi tam pojechać!

Wtem przychodzi jej na myśl, że to niepodobnieństwo. O tej porze roku żaden koń nie przebędzie jeziora. Lód blizki jest puszczenia, przy brzegu nawet już stopniał. Niepewny jest, popękany, miękki. Woda wydobywa się z pomiędzy kry lodowej, w niektórych miejscach wygląda jak czarna kaluża, na innych jest jeszcze lód śnieżno-biały. Największa jednak część jeziora jest szara i brudna od stopniałego śniegu, a drogi na nim znaczą się długimi, czarnymi pasami.

Jakżeż tu myśleć o przedostaniu się tam? Teściowa jej, hrabina Marta, nigdyby na coś podobnego nie zezwoliła. Przez cały wieczór musi przy niej siedzieć w wielkim pokoju wspólnym, słuchając dawnych, dworskich anegdot, któremi się sama zachwyca.

Nadchodzi noc, męża niema, jest wolna.

Jechać nie może, nie ma odwagi budzić służby; ale trwoga wygania ją z domu. Nie może inaczej postąpić.

Ciężkie są drogi, któremi ludzie na ziemi kroczyć muszą — pustynne to drogi, błotniste, strome.

Z czemże jednak porównać mam tę naturalną drogę po topniejącym lodzie? Czyż to nie ta sama droga, którą kroczyć muszą małe kwaciarki? niepewna, ślizka droga tych, które chcą leczyć rany innych; droga tych, które chcą naprawiać, co złego zrobiły, droga lekkich stóp, bystrego oka, odważnego, pełnego miłości serca?

Było już po północy, gdy hrabina docierała do Ekeby. Padła na lodzie, przeskakiwała szerokie ry-

sy, przebiegała lekko miejsca, w których wydobywająca się woda moczyła jej nogi, czolgała się, pełzała. Straszna to była, opłakana droga. Przemokła i zmęczyła się, a ciemność, pustka, osamotnienie jeszcze bardziej udręczały jej myśli. Pod samem Ekeby musiała po kostki brodzić w wodzie, aby się na ląd dostać. A gdy wyszła nareszcie na brzeg, niezdolną była do niczego, usiadła na kamieniu i ze znużenia i bezradności zaczęła płakać.

Ciężkie drogi mają przed sobą dzieci ziemi, a małe kwiaciarki często padają obok swoich koszów w chwili, gdy dotarły do tego, któremu drogę chcą usłać kwiatami.

Biedna, młoda bohaterka nasza, w swojej słonecznej ojczyźnie nie chodziła po takich drogach. To też nic dziwnego, że na brzegu tego straszego jeziora siedzi mokra, zmęczona, nieszczęśliwa i myśli o pięknych, kwiatami wysadzanych drogach w jej rodzinnem mieście.

Ach, wszystko jej jedno, czy to północ lub południe — oddana jest miłości, płacze nie z tęsknoty za krajem. Płacze ta mała kwiaciarka, ta bohaterka ze znużenia, płacze, że nie może dotrzeć do tego, któremu drogę chce kwiatami przyrzucić, płacze, myśląc, że przybywa za późno.

Wtem kilku ludzi biegnie brzegiem. Mijają ją, nie zauważywszy, ale ona słyszy ich słowa: — Jeżeli tama pęknie, kuźnia stracona! — mówi jeden.

— I młyn i warsztaty i domki kowalów — dodaje ktoś inny.

Wraca jej odwaga, wstaje i dąży za nimi.

Młyn i kuźnia Ekeby leżały na wązkiej cieśninie, oblanej rzeką Björkseem. Spadała ona z hukiem na cieśninę, pieniać się po gwałtownym spodzie; aby więc ten skrawek ziemi obronić od wody, zbudowano wielki kamienny wał. Ale tama stara już była, a rządźili, jak wiemy, rezydenci. Gdy chodziło o tańce, umieli przełamać wszystkie przeszkody, aby jednak zbadać, o ile prąd wody, mróz i ząb czasu uszkodziły starą, kamienną tamę, na to nikt z nich czasu nie znalazł.

Nadeszła wiosna i tama zaczęła się rozluźniać.

Wodospad pod Ekeby był to potężny granitowy spad, którym staczała się rzeka. Szybki bieg spiętrzał jej fale, które kłębiły się i rozbiły o siebie wzajem. Gniewnie wzdymają się, obryzgują się pianą, potykają się o kamień lub kłodę drzewa, znów się podnoszą, by dalej potykać się, pienieć, burzyć, wyc i huczeć.

Te to dzikie fale, odurzone wiosennem powietrzem, odzyskawszy znów wolność, przypuszczają szturm do kamiennej tamy. Z jękiem i stękanem zbliżają się, rzucają się na nią i odskakują, jak białe głowy od muru, o który się obily. Szturm to moźliwie najgwałtowniejszy; wielkie kry lodowe słuźą im za tarcze, kłody drzewne za tarany, napadają, burzą, huczą, jak gdyby im ktoś przesyłał słowa komendy, tak sprawnie tō robią. Nakoniec zawracają, ale z wielkim kamieniem, który oderwał się od tamy i z hukiem zapada w rzekę.

Zda się, jakoby je to przeraziło, gdyż cichną, ale potem ogarnia je radość, później naradzają się i dalejże znów naprzód! Powtarza się historia z kra-

mi i kłodami drzewa, bezlitosna, dzika, pełna żądzyszczenia.

— Gdyby tama runęła — mówią fale — gdyby tylko ona runęła, przyszlaby kolej na kuźnię i młyn.

— Dzień wolności zaświtał! precz z ludźmi i ludzkiemi tworami! Poczernili nas sadzą i węglem, zakurzyli nas mąką, nałożyli nam jarzmo pracy, jak wołom, kręcą nas wokoło, zamknęli nas, bieg nam spętali, zmusili nas obracać koła ciężkie, dźwigać wielkie drewniane kloce. Ale teraz się wyzwolimy. Dzień wolności zaświtał! Słyszycie, fale Björksees, słyszycie bracia i siostry w stawach i moczarach, w górskich strumykach i leśnych potokach? Przybywajcie! przybywajcie! Spadajcie, łączcie się z nami, dodajcie nam świeżych sił, huczcie, syczcie, wyjcie, gotowe zerwać stuletnie pęta. Przyplływajcie!

Dzieło tyranii niechaj padnie! Zguba i śmierć Ekeby!

I płyną. Fala za falą spadają, głową uderzając o wał, przyczyniając się do wielkiego dzieła zniszczenia. Upojone odzyskaną swobodą wiosenną, silnie zjednoczone napierają i od blizkiej upadku tam, raz w raz odrywają to kamień, to warstwę ziemi.

Dlaczego jednak ludzie pozwalają falom burzyć tamę, nie stawiając im żadnego oporu? Czyżby Ekeby wymarło?

Nie, ludzie w niem są, garstka ludzi bezradnych, pomieszanych, nie wiedzących co robić. Noc jest ciemna, nie widzą się wzajemnie, nie mogą widzieć, gdzie idą. Wodospad szumi głośno, straszą, łomot sprawiają rozbijające się kry i zderzające się kłody drzewne; nie mogą własnych słów słyszeć. Odurzenie, które opanowało szumiące fale, ogarnęło

też i mózgi ludzkie, w głowach ich niema myśli, nie pamiętają o niczem.

Nagle dają się słyszeć dzwony fabryczne. Kto ma uszy, niechaj słuca! My tu, pod kuźnią Ekeby mieszkający, jesteście blizcy śmierci! Potok nas załaje. Tama grozi zapadnięciem, kuźnia znajduje się w niebezpieczeństwie, młyn znajduje się w niebezpieczeństwie i nasze mizerne domostwa, które kochamy, chociaż są tak nędzne.

Fale gotowe przypuszczać, że dzwony wzywają ich sojuszniczki, gdyż z ludzi nikt się nie zjawia. A heł w lasach i na moczarach zaczyna się ruch żywy. Na pomoc! Na pomoc! — jęczą dzwony.

— Po stuletniej niewoli wreszcie wyzwoliłyśmy się! Przybywajcie! Przybywajcie!

Zarówno szumiące fale, jak dźwięczące dzwony z warsztatów śpiewają pieśń pogrzebową nad blaskiem i świetnością Ekeby.

A tymczasem do rezydentów przybywa jeden posłaniec za drugim.

Ale im ani w głowie myśleć o kuźni i młyniel. Setki gości zgromadziły się w wielkich salach zamku. Roznosicielka mioteł czeka w kuchni. Nadeszła chwila oczekiwanej w naprężeniu niespodzianki. Szampan perli się w kieliszkach, Juliusz podnosi się, aby wypowiedzieć uroczystą przemowę. Wszyscy starzy awanturnicy z Ekeby cieszą się na myśl o niemem zdumieniu, które ogarnie zgromadzenie.

Na dworze zaś, po lodzie jeziora kroczy młoda hrabina Dohna, narażając życie, aby Göście Berlinowi szepnąć do ucha ostrzeżenie. Niżej, pod wodospadem przypuszczają fale szturm do potęgi

i wielkości Ekeby, ale w salach panuje tylko radość i naprężenie oczekiwania; świece woskowe palą się, wino płynie, tu nikt nie myśli o tem, co się dzieje na dworze w ciemną, burzliwą noc wiosenną.

Właśnie nadeszła chwila oczekiwana. Gösta wstaje i wychodzi po swoją narzeczoną. Ale musi przechodzić przez sień—drzwi stoją szeroko otwarte, przystanął, patrzy w ciemną noc—i słyszy i słyszy.

Słyszy dzwony dźwięczące i huczący wodospad. Słyszy trzask pękającego lodu, stuk zderzających się kłód drewnianych, słyszy huczący, szyderski, zwyciężki hymn wolności, śpiewany przez zbuntowane fale.

Zapomina o wszystkim i wybiega. Nie troszczy się o gości, którzy pozostali w salach i z podniesionymi kielichami czekać będą — niech czekają, niech sobie z nich nie robi. Narzeczoną też może poczekać. Mowa patrona Juliusza niech mu zamrze na ustach, dzisiejszej nocy nic nie będzie z wymian pierścionków, nieme zdziwienie nie owładnie świątym zebraniem.

Biada wam teraz, buntownicze fale, teraz naprawdę walczyć się będzie o wolność, teraz dotarł Gösta Berling do wodospadu, teraz ludzie usłyszeli głos przewodnika, teraz stoi na murach obrońca, zacznie się straszliwa walka. Słyszycie, jak nawołuje tłum, jak rozkazuje, jak wszystkich zmusza do działania?

— Światła, przedewszystkiem światła nam trzeba! Tu nie wystarczy latarka młynarza. Weźcie wiązkę chróstu, wyniescie na pagórek i podpalcie. To robota dla kobiet i dzieci... tylko szybko! Zrób

cie wielki stos z suchych gałęzi. On nam będzie przyswiecał, płomień będzie widny zdaleka i sprowadzi nam pomoc.

A pilnujcie, aby ogień nie wygasł.

— Tu zaś dla was robota, mężczyźni. Oto deski, belki, zbijcie z nich tamę, którą spuścimy poprzód kamienną. Prędko, prędko, do roboty! a zrobić mocno i pewnie.

— Mieście kamienie i wory z piaskiem w pogotowiu, aby spuścić rusztowanie. Szybko! Wywijajcie siekierami, stukajcie młotami, świdrujcie drzewo głęboko, pilujcie suche deski, niech aż trzeszczy!

— A gdzież chłopcy? Chodźcie-no tu, wy urwisze. Trzymajcie sztaby żelazne, przynieście haki i chodźcie tu, w sam środek walki. Na wał wyjdźcie, w sam środek fal, które pienią się i szumią i obryzgują nas białą pianą. Odgarniajcie je, osłabiajcie, odpierajcie ich napór odrywający kamienie. Odrzućcie na bok pnie drzewne i kry lodowe, połóżcie się, jeżeli inaczej nie możecie dać rady i trzymajcie kamienie rękami, wgrzyźcie się w nie, opaszcie je żelaznymi szponami. Waleczcie chłopcy, próżniaki, nieponie! Wyjdźcie mi na ten wał! Musimy walczyć o każdy cal ziemi!

Gösta sam staje na najdalszym końcu tamy i stoi obryzany pianą, a grunt się pod nim chwieje. Fala ryczy i burzy się, ale jego szalone serce właśnie jest w swoim żywiole wśród niebezpieczeństwa, niepokoju, walki. Śmieje się, coraz nowe pomysły w nim powstają i wykrzykuje je ku chłopcom—nigdy nie przeżył weselszej nocy.

Dzieło ratunkowe postępuje żywo: płomień

buchają wysoko w górę, siekiery cieśli stukają, tam widać stoi.

Reszta rezydentów, oraz goście przyszedli pod wodospad. Zdaleka i zbliska nadbiegają ludzie, wszyscy pracują: zgarniają ogień, zbijają tymczasową tamę, napelniają wory, bronią talom dostępną chwytając się kamienny most.

Skończono tymczasową tamę i właśnie ma się ją spuszczać poprzód kamienną! Trzymajcie więc kamienie i wory piasku w pogotowiu, haki i liny, aby wam jej nie porwał; niechaj ludzie zwyciężą fale, które pokonane niechaj wracają pod jarzmo!

W tej rozstrzygającej chwili padło spojrzenie Gösty na postać kobiecą, siedzącą na kamieniu nad rzeką: Strzelające w górę płomienie właśnie oświetliły ją, siedzącą z oczyma wlepionymi w fale. Nie może jej widzieć dokładnie, przeszkadzają ma mgła i piana, ale wzrok jego mimowoli do niej wraca ustawicznie. Wciąż się w nią wpatruje. Zdaje mu się, jakby ta kobieta miała do niego jakieś zlecenie.

Pomiędzy temi setkami ludzi, którzy na brzegu rzeki pracują i ruszają się, ona jedna siedzi spokojnie, a wzrok jego wciąż jej szuka, nie widząc nic innego. Siedzi tak blisko wody, że fale uderzają o jej stopy i obryzgują ją. Zapewne przemokła całkowicie. Jest ciemno ubrana, na głowie ma duży szal, siedzi skurczona, z brodą wspartą na dłoni, i bezustannie wpatruje się w niego, stojącego w ciemności. Czuje, że te osłupiałe oczy pociągają ją i wabią ku sobie, chociaż nie może nawet twarzą jej rozróżnić.

— To syrena jeziora—myśli — przybyła aż tu, aby mnie przywieść do zguby. Siedzi i wabi mnie, muszę ją odpędzić.

Zdaje mu się, że wszystkie te fale z jasnymi grzywami to wojsko czarnej kobiety, ona je zbuntowała, ona je wiedzie do ataku na niego.

— Przecież ją muszę odpędzić! — mówi do siebie.

Chwyta hak, skacze na ląd i biegnie ku owej postaci. Opuszcza swoje miejsce na najdalszym końcu tamy, aby odpędzić syrenę. W tej chwili naprężenia zdaje mu się, że walczą z nim nieczyste siły otchłani. Nie wie, co myśleć, w co wierzyć — musi tę kobietę z tego kamienia spędzić.

Ach Gösto, czemuż w rozstrzygającej chwili miejsce twoje próżne? Właśnie idą z gotową tamą, szereg ludzi staje na kamiennym wale; mają liny, kamienie i wory z piaskiem w pogotowiu, aby ją obciążyć i spuścić; stoją, czekają, nasłuchują. Gdzież ten, który wydawał rozkazy? Czyż nie zabrzmiał jego głos, zarządzający, jak to zrobić?

On tymczasem poluje na syrenę. Ujrzała go, biegnącego ku niej z hakiem w rękę. Przeraziła się. Zdawało się, jak gdyby chciała się w wodę rzucić, lecz namyśla się i wraca na ląd.

— Syrena! — woła Gösta i wywija hakiem nad jej głowę. Ona biegnie pomiędzy krzakami olszyny, rosnącymi na brzegu, ale zawisła między nimi i musiała przystanąć.

Wtedy odrzuca Gösta hak i kładzie jej rękę na ramieniu.

— Późno pani hrabina bawi na dworze, hrabino Elżbieto!—mówi.

— Proszę mnie puścić, panie Berlingu! Puść mnie pan do domu!

Posłuszny jej jest i odwraca się.

Ale ona jest nie tylko wielką damą, lecz także i serdecznie dobrem stworzeniem, które nie może znieść myśli, że człowieka popchnęła do rozpacz—żałuje tego, co powiedziała, idzie za nim i chwytła jego dłoń.

— Przyszłam... przyszłam, aby... jaka... ach, panie Berlingu, przecież pan tego nie uczynił—proszę powiedzieć, że pan nie uczynił! Tak się przerażałam, widząc pana przybiegającego... a przecież właściwie pana tylko szukałam. Chciałam pana prosić, aby pan zapomniał, co powiedziałam ostatnim razem i przychodził do nas jak dawniej!

— Jakże się pani hrabina tu dostała?

Rozeźmiała się nerwowo.

— Wiedziałam, że przybędę zapóźno, ale nie chciałam nikomu opowiadać, że tu idę, a zresztą, jak pan wie, nie można jechać przez jezioro.

— Pani hrabina je przeszła?

— Naturalnie. Ale, panie Berlingu, proszę mi powiedzieć, czy pan jest zaręczony? Pojmie pan, jak miłoby mi było dowiedzieć się, że nie! To przecież niedobrzeby było, a czuję, że ja byłabym temu winna: Nie powinien pan był przywiązywać tak wiele wagi do moich słów. Jestem cudzoziemką, nie znam tutejszych obyczajów. Tak pusto się żyło na Borgu, gdy pan przestał być.

Goście, stojącemu wśród mokrych krzaków

szyny, na rozmiękłym gruncie zdaje się, jakby go kto od stóp do głów zasypał różami. Brodzi po kolana, wśród róż, błyszczą one w ciemności przed jego oczyma, z rozkoszą woń ich wdycha.

— Stało się więc?—powtarza ona.

Musi się zdecydować odpowiedzieć jej i uciszyć jej trwogę—choć tak mu jest miło. Jak ciepło mu się robi, jak jasno, gdy pomyśli, jaką drogę odbyła, jak przemokła, przeziębła, jaka musi być wylekniiona, jak płaczkliwie brzmi jej głos!

— Nie—odrzekł—nie jestem zaręczony.

Wtedy jeszcze raz ujmuje rękę jego i gładzi ją.

— Taka jestem szczęśliwa, taka szczęśliwa!—powiada, a pierś jej ściśnięta strachem obecnie drga lękaniem.

Teraz droga poety jest całkowicie usłana kwiatami. Wszystka złość, nienawiść, buta roztapia się w jego sercu.

— Ach, jaka pani dobra, jaka dobra!—mówi.

Tuż obok niego fale przypuszczają szturm do wspaniałości i piękności Ekeby. Teraz ludzie nie mają przewodnika, nikogo, ktoby im dodał odwagi i nadziei, runęła tama, fale przelewają się przez nią i zwyciężkie wpadają na ląd, na którym stoi młyn i kuźnia. Nikt nie usiłuje stawić czoła falom, każdy myśli tylko o ratowaniu życia swego i mienia.

Gość musiał naturalnie hrabinę odprowadzić do domu; nie mógł jej przecież puścić bez opieki w ciemną noc, nie mógł pozwolić, aby sama szła przez lód puszczający. Nie przyszło im oboju na myśl, że obecność jego w kuźni była pożądaną, czują się tak szczęśliwymi z odnowionej przyjaźni.

Zdaje się, jakby ci młodzi żywili względem siebie serdeczne uczucia, ale któż to może wiedzieć? W oderwanych, luźnych urawkach doszła moich uszu piękna opowieść ich życia. Nie wiem jednak nic, tyle co nic, co w głębi ich dusz tkwiło. Jakżeż mogłabym więc coś powiedzieć o pobudkach ich czynów. Wiem tylko, że młoda kobieta owej nocy naraziła życie, zdrowie, cześć, dobre imię, aby biednego, nieszczęśliwego człowieka sprowadzić znów na dobrą drogę. Wiem tylko, że Gösta Berling owej nocy pozwolił upaść kochanemu dworowi, by mógł odprowadzić tę, która dla niego przewyciężyła strach przed śmiercią, strach przed niesławą, strach przed karą.

Częstokroć myślą towarzyszyłam im owej straszliwej nocy w wędrówce po lodzie. Nie sędzę, aby w duszach ich coś ukrytego, zakazanego, coby należało stłumić, zdusić, gdy idą po lodzie, rozmawiając wesoło o wszystkim, co się wydarzyło w czasie ich rozłąki.

Jest znowu jej niewolnikiem, paziem u nóg jej leżącym. Czują jedynie radość, wesele. Żadne z nich nie wymienia wyrazu miłość. Śmiejąc się, brodzą przez wodę przy brzegu; śmieją się, gdy natrafiają na drogę, śmieją się gdy błędzą, gdy się poślizną, gdy upadną, gdy się znów podnoszą — wciąż się śmieją.

Znów stało się wesołą zabawą to piękne życie a oni są znów dziećmi, które były niegrzeczne i pokłóciły się. Ach, jak to ładnie znów się pojednało i znów się bawić.

Plotki rozdziły się i ginęły. Z czasem doszła wieść o wędrówce hrabiny do Anny Stjaernhok.

— Nakażę spokój swojemu sercu i pozostanę, gdzie jestem potrzebną. Bóg i bez mojej pomocy zrobi z Gösty Berlinga prawdziwego męża — powiedziała sobie.

kolców. Serce jej oskarżało ją o grzech. Pragnęło ono cierpienia, jak znużony pragnie ciepłej kąpieli. Nędzę i niedolę sprowadziła na siebie, rzucając się z radością w ich odmęt.

Mąż jej, młody hrabia, o starej głowie, wrócił z podróży nad ranem po owej nocy, kiedy to wiosenna powódź zniszczyła młyn i kuźnię w Ekeby. Zaledwie wszedł, wezwała go do siebie hrabina Marta i opowiedziała mu o niezwykłym wydarzeniu.

— Twoja żona, Henryku, spędziła noc za domem. Nie było jej kilka godzin. Wróciła w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Słyszałam, jak jej żył dobrej nocy, wiem nawet, kto to był. Słyszałam, kiedy wyszła i kiedy wróciła, chociaż chciała się z tem ukryć. Ona cię zdradza, Henryku! Ona cię zdradza, ta świętoszka, która wieszka firanki sztyklowe u wszystkich okien, jedynie mnie naprzekór. Ona cię nigdy nie kochała, mój biedny chłopcze. Jej ojciec chciał ją dobrze wydać. Wyszła za ciebie, aby być zabezpieczoną.

A umiała tak utrafić, że hrabia Henryk wpadł w gniew i groził, że poda o rozwód, że odeśle żonę ojcu.

— Nie, mój synu — rzekła hrabina Marta — w ten sposób zgubiłbyś ją zupełnie. Jest tylko rozpieszczona i źle wychowana; ja się nią zajmę i sprowadzę ją na drogę obowiązku.

Tedy hrabia wezwał młodą hrabinę i powiadział jej, że odtąd stać będzie pod rozkazami jego matki. Nastąpiła potem scena niezrównana; nędz-

POKUTA.

Drodzy przyjaciele! jeżeli zdarzy się wam spotkać na drodze biednego nędzarza, smutną istotę, która z kapeluszem zsuniętym na tył głowy i ciężkimi w rękę kroczy, aby nie mieć żadnej osłony przed palącym słońcem i kamieniami gościńca, bezbroną istotę, która dobrowolnie ściąga na swoją głowę wszelakie zło, przejdźcie obok takiego człowieka z cichym drżeniem. Jestto pokutnik, rozumiecie? pokutnik w drodze do grobu świętego.

Pokutnik miewa w grzbiecie włosienicę, a żyje w się chlebem i wodą, chociażby królem był. Musi pieszo iść, niewolno mu jechać. Musi żebrac, niewolno mu nie posiadać. Musi sypiać wśród piasków, na kolanach się czolgać po kamieniach ostrych. Musi skęponym biczem smagać plecy swoje i nie może doznawać innej rozkoszy, prócz rozkoszy cierpienia, żadnej radości, jeno zgrzyotę.

Młoda hrabina Elżbieta należała do tych, którzy we włosienicy chodzą po ścieżkach pełnych

niejszej komedyi nie odegrano w tym smutkowi poświęconym domu!

Powiedział wtedy żonie dużo ostrzych słów. Wzniósł ręce do nieba i oskarżał Boga, iż zezwolił aby jego imię przez bezwstydną kobietę nurzanę było w błocie. Groził jej zaciśniętą pięścią i pytał jaką karę uważa za dostateczną za swoją zbrodnię.

Nie ułękła się. Zawsze jeszcze sądziła, że postąpiła, jak należało. Odpowiedziała więc, że nabrała się straszego kataru, a to chyba jest już dostateczną karą.

— Elżbieto! — zawołał — nie pora teraz na żarty.

— Prawda, my oboje nigdy nie mogliśmy się zgodzić, kiedy jest odpowiednia chwila na żarty, a kiedy nie — odparła młoda kobieta.

— Ależ, pojmujesz chyba, Elżbieto, iż żadna uczciwa kobieta nie opuszcza domu w nocy, aby walczyć z osławionym awanturnikiem?

Wtedy zrozumiała Elżbieta, że teściowa jej postanowiła ją zgubić. Zrozumiała, że musi walczyć do ostateczności, aby się tej kobiecie nie udało wpędzić jej w straszne nieszczęście.

— Henryku — prosi — niech matka nie sta się między nami. Opowiem ci, jak się to wszystko stało. Ty jesteś sprawiedliwy, nie potępisz mnie bez wysłuchania. Opowiem ci wszystko, a zobaczysz, że działałam tak, jak tyś mnie uczył.

Hrabia milczeniem dał znak przyzwolenia, i hrabina jęła opowiadać, w jaki sposób wepchnęła Gostę Berlinga na złą drogę. Opowiedziała wszystko, co zaszło w niebieskim pokoiku, jak sumienie jej

dreńczyło, aby ratować tego, któremu wyrządziła krzywdę.

— Nie miałam przecież prawa go potępić — mówiła — a mój mąż sam mnie uczył, że niema ofiary zbyt wielkiej, gdy idzie o naprawienie wyrządzonej krzywdy. Nieprawdaż, Henryku?

Hrabia Henryk zwrócił się do matki.

— Cóż ty na to, mamó? — zapytał. — Jego mała głowa zeszywniała całkiem od powagi, a wysokie, wązkie czoło ułożyło się w majestatyczne fałdy.

— Ja — odparła — ja powiadam, że Anna Stjaernhök jest mądrą dziewczyną i wiedziała dobrze, co robi, opowiadając tę historję Elżbiecie.

— Nie o to mi chodzi, mamó — rzekł hrabia. — Pytam, co ty na tę historję? Czyż hrabina Marta Dohna rzeczywiście usiłowała córkę swoją, a moją siostrę nakłonić do poślubienia złożonego z urzędu proboszcza?

Hrabina Marta milczała chwilę. — Jakież ten Henryk głupil!... — pomyślała. — Zupełnie zszedł z tropu... jak wyżeł ścigający strzelca, a pozwalający ujść zającowi.

Lecz tylko chwila zakłopotania, a niebawem obmyśliła Marta Dohna odpowiedź.

— Drogi synu — zaczęła, wznosząc ramionami — wszyscy mamy powód dawne historje tego nieszczęśliwca puścić w niepamięć. Ten sam powód skłania mnie dziś prosić cię, byś unikał wszelkiego jawnego skandalu. — Prawdopodobnie jest, że owej nocy właśnie postradał życie.

Powiedziała to łagodnym, smętnym głosem.

— Elżbieta dziś długo spała i dlatego nie sły-

szala, że rozesłano już ludzi naokół jeziora, by szukali pana Berlinga. Nie wrócili do Ekeby, obawiając się, że utonął. Lód dziś rano puścił. Patrz, rozprysnął się w tysiąc kawałków.

Hrabina Elżbieta spojrzała: rzeczywiście, morze było niemal całkiem wolne od lodu. Wtedy wstyd ją ogarnął—chciała ujść sprawiedliwości Boskiej... kłamała, udawała obojętną, przywdziała płaszcz niewinności.

W rozpacz padła na kolana przed swoim mężem, a z piersi jej wyrwało się wyznanie:

— Sądź mnie! Odepchnij mnie! Kochałam go. Włosa sobie z głowy rwę, szaty rozdieram z żalu po nim. Teraz, skoro jego już nie ma, wszystko mi obojętne. Nie chcę się bronić. Poznaj całą prawdę. Odebrałam serce swoje mężowi i oddałam je obcemu człowiekowi. Ach, nieszczęsna ja, dałam się uwieść zakazanej miłości.

O, młoda, zrozwadzona kobieto! leż u nóg swego sędziego i powiedz mu wszystko!

Powiedz swojemu mężowi, jak się przeraziłaś, gdy tobą uczucie zawładnęło, jak wyrzucałaś sobie niegodziwość. Wolalabyś się była spotkać z upiorami na cmentarzu, niż z demonami własnej swojej piersi.

Powiedz mu, jak czułaś się niegodną stąpać po tej świętej ziemi. Wołałaś wśród lez i modłowa: Ach Boże, ratuj mnie! Ach, Synu Boży, Ty, który wypędzasz źle duchy, ratuj mnie od zguby!

Powiedz mu, że przypuszczałaś, iż najlepiej będzie zataić wszystko, aby nikt nie wiedział o twojej niegodziwości. Sądziłaś, że tak postępując, za-

dowolisz Boga. Myślałaś, że Bożego rozkazu słuchasz, ratując człowieka, którego kochałaś. On nie domyślał się twojej miłości. Nie chciałaś być przyczyną jego zguby. Alboż wiedziałaś, co dobre, a co niedobre? Bóg jeden wiedział. On wydał na cię wyrok, uderzył w bożyszcze serca twego. On wprowadził cię na wielką, zmywającą grzechy drogę pokuty.

Powiedz mu, że obecnie wiesz, iż w zatajeniu grzechu nie masz zbawienia. Demony lubują się w mrok. Niechaj sędziego twego dłonie ujmą bicz twarde. Ciosy padać będą jako balsam kojący na rany grzechu. Serce twoje wdycha do cierpienia.

Powiedz mu to wszystko, leżąc na kolanach i łamiąc ręce w bezmiernym bólu głosem dźwięczącym dziką rozpaczą i dzikim śmiechem...

Mówi to wszystko i mówi o karze i hańbie... wreszcie mąż podnosi ją z ziemi ze słowami:

— Zachowaj się, jak przystało hrabinie Dohna, inaczej będę zmuszony poprosić matki, aby cię skarciła jak dziecko.

— Rób ze mną, co chcesz!

Wtedy hrabia ogłosił wyrok:—Ponieważ matka moja wstawiała się za tobą, wolno ci pozostać w moim domu. Na przyszłość jednak ona tu będzie rozkazywała, a ty słuchać będziesz!

Oto droga pokuty!

Młoda hrabina zajęła miejsce ostatniej ze służebnych. Długoż tego będzie?

Długoż serce dumne korzyć się potrafi? Długoż milczeć potrafią niecierpliwie usta? Długoż powstrzymać się zdoła zaciśnięta dłoń?

Nędza upokorzenia jest dobroczynną. Gdy grzbiet pochyła się pod ciężarem pracy, mileczy serce. Do tego, który niewiele godzin spoczywać może na twardym tapczanie, przybywa sen bez wezwania.

Nawet wtedy, gdy stara w szatana się zmienia, aby dręczyć młodą kobietę, wtedy nawet pokutnica dziękuje swojej dobrodziejce. Jeszcze w niej grzech nie zamarł w myśli.

Spędzaj więc śmiertelnie znużoną z legowiska o czwartej rano! Daj niewprawnej pracownicy zajęcie przechodzące jej siły przy ciężkim warsztacie tkackim! To dobrze działa. Pokutnica nie miałaby dość sił, aby się sama biczować mogła.

Za nadejściem wielkiego wiosennego prania stawia ją hrabina Marta przed ogromną balią w pralni. Sama zachodzi dopilnować robotnicy. Twoja woda jest za zimna -- mówi, nabiera wrzącej wody z kotła i leje na jej nagie ramiona.

Zimny to dzień, w którym praczki stoją nad morzem i płócą bieliznę. Drobną deszcz siecze je, przemoczone są do nitki. Suknie ciężą im, jak olów. Bicie kijanką jest uciążliwe. Krew tryska hrabinie z pod delikatnych paznogci.

Ale się nie skarży. Czyż jest inne pokrzepienie dla duszy łaknącej pokuty, jak cierpienie? Ostre węzły bicza padają na grzbiet miękko, nito róży płatki.

Młoda kobieta dowiedziała się wkrótce, że Gösta Berling żyje. Stara chciała z niej tylko wyciągnąć wyznanie. No i cóż? Wola Boska! W ten sposób sprowadził Pan grzesznicę na drogę pokuty.

Jedno ją tylko niepokoiło. Co się też stanie z teściową, której serce Bóg uczynił tak twardem? Ach, ją zapewne łagodnie sądzić będzie. Musi złą być dla niej, aby grzesznicy dopomódz do odzyskania miłości Bożej.

Nie wie biedactwo, że często dusza, która już zażywała wszelkich rozkoszy, zaczyna ich szukać w okrucieństwie. Gdy nienawykła do cierpień, rozgorączkowaną dusza musi się obyć bez pochlebstwa i pieczy, bez szalu tańca i przyjemności gry, spuszcza się wtedy w głębiny swoje ponure i wydobywa okrucieństwo. Istnieje bowiem źródło rozkoszy dla znieczulonych nerwów — dręczenie ludzi i zwierząt.

Stara nie wyobraża sobie, iż jest złą; zdaje się jej tylko, że karci lekkomyślną małżonkę; to też po nocach nie śpi, lecz obmyśla nowe męki.

Biada jej, tej świętokradczyni! Pracę, to wielkie dobrodziejstwo, zamienia w służbę i karę.

Pewnego wieczoru obchodzi dom i każe sobie świecić młodej hrabinie — ta niesie świecę bez lichtarza.

— Świeca się spaliła — powiada młoda hrabina.

— Jeżeli spaliła się świeca, niechaj płonie lichtarz — odpowiada hrabina Marta,

I idą dalej, póki dopalający się knot nie zgasł na poparzonej ręce.

Ale to tylko drobnostka. Są udręczenia duszy, przechodzące wszelkie męki cielesne. Hrabina Marta zaprasza gości i każe gospodyni usługiwać im przy swoim własnym stole.

Może z zinnem szyderstwem spoczną na niej lodowate spojrzenia?

Może będzie tysiąc razy gorzej? Nikt nie popatrzy na nią. Wszyscy będą siedzieli przy stole zmieszani, milczący, tak mężczyźni, jak kobiety.

Czyż grzech jej jest tak strasznym? Czyż hańbą jest znajdować się w jej towarzystwie?

Anna Stjaernhök, która była jej przyciółką, sędzia z Munkerud, sąsiad Anny, ściskają ją, gdy podchodzi ku nim, odbierają jej półmisek, podsuwają jej krzesło i nie chcą jej puścić od siebie.

— Usiądź między nami, dziecko, mówi sędzia — nie popełniłaś nic złego.

I jakgdyby z *jednych* ust wydobywa się oświadczenie, iż jeżeli nie siądzie z nimi razem do stołu, natychmiast dom ten opuszczą. Nie są manekinami. Nie tańczą, jak im zagra hrabina Marta. Nie dadzą się tak łatwo otumanić, jak hrabia o słabej głowie.

— Ach, dobrzy panowie! ach, drodzy przyjaciele! nie bądźcie tak litościwi! Zmuszacie mnie, abym wypowiadała się z grzechu. Istnieje ktoś, kogo zbyt kochałam.

— Ależ dziecko, ty nie wiesz, co to grzech! Nie wiesz nawet, jak czystą jesteś! Gösta Berling przecież nie wie o tem, że go kochasz. Zajmijże znowu należne ci w domu miejsce — nie uczyniłaś nic złego.

Jakiś czas dodali jej otuchy i sami nagle weszli się, jak dzieci. Żarty i figle zaczynają kursować. Łatwo zapalni, gorącej krwi ludzie bywają tacy dobrzy. A jednak zesłał ich kusiciel — myśli pokutnica. — Chcą w nią wmówić, że jest męczennicą i szydzą nawet otwarcie z hrabiny Marty, jak gdyby była starą czarownicą.

Nie wiedzą, jak dusza jej tęskni do czystości, nie wiedzą, że pokutnik zmusza własne serce do wystawienia się na żar słoneczny i narażenia się na ostre kamienie na drodze.

Niekiedy musi hrabina Elżbieta całymi dniami siedzieć spokojnie przy krosnach, a wtedy opowiada jej stara hrabina nieskończone historie o Goście Berlingu, proboszczu i awanturniku. Jeżeli jej pamięć nie dopisze, wymyśli coś, a stara się jedynie o to, by jego imię brzmiało w uszach młodej kobiety przez dzień cały. Tego się boi najbardziej. W takie dni uznaje, że pokuta jej nigdy się nie skończy. Miłość jej nie chce zamrzeć. Zdaje się jej, że prędzej umrze ona sama. Siły zaczynają jej słabnąć. Często zapada na zdrowiu.

— Gdzież twój rycerz? — pyta hrabina z ironią. — Dzień za dniem spodziewałam się go, wpadającego tu na czele drużyny. Dlaczegoż nie zdobędzie zamku, nie osadzi cię na tronie, a mnie z twoim mężem nie wrzuci związanych do ciemnicy? Czyżby cię już zapomniał?

Czuje niemal potrzebę usprawiedliwienia go i przyznania się, że sama zakazała mu zjawiać się z jakąkolwiek pomocą. Ale nie, najlepiej milczeć i cierpieć.

Z każdym dniem niemal nikt nie w ogniu pracy ponad siły. Ma ciągłą gorączkę i jest tak osłabiona, że ledwie może się utrzymać na nogach. Jedno ma już tylko życzenie — umrzeć. Potężne siły życia drzemią w niej zakłętą czarą. Miłość i ra-

dość nie śmieją się poruszyć. Teraz nie obawia się cierpień.

Mąż zdawał się nie wiedzieć wcale o jej istnieniu. Siedział niemal cały dzień zamknięty w swoim pokoju, studiując nieczytelne rękopisy i stare, zarte druki.

Czytuje dyplomy szlacheckie spisane na pergaminie, opatrzone szwedzką rządową pieczęcią, dużą, z czerwonego wosku, wiszącą w toczonej puszcze drewnianej. Studjuje stare tarcze herbowne z liliami w białym polu i gryfami w niebieskiem. Na tych rzeczach się rozumie, te umie z łatwością wytłumaczyć. I odczytuje raz po raz stare, pogrzebowe mowy i kroniki o szlachetnych hrabiach Dohna, w których to kronikach czyni ich porównywa się z czynami bohaterów Izraela i bogów greckich.

Te dawne czasy zawsze sprawiały mu przyjemność. O swojej młodej żonie nawet nie chce myśleć.

Hrabina Marta powiedziała coś takiego, co zaabiło w nim wszelką miłość. — Ona cię wzięła dla pieniędzy! Czegoś podobnego żaden mężczyzna nie ścierpi. To gasi wszelką miłość. Teraz wszystko mu jedno, co się dzieje z młodą kobietą. Jeżeli ją matka sprowadzi na drogę obowiązku, to dobrze — zresztą wszystko mu jedno. Hrabia Henryk podziwiał swoją matkę.

Straszne to życie trwało miesiąc. Ale nie wątpiło tak burzliwe, jakby się zdawać mogło z wypadków ściśniętych razem na kilku stronicach. Hrabina Elżbieta podobno zawsze umiała zachować spokój. Raz tylko, wtedy, gdy posłyszała o śmierci

Gösty Berlinga, zmogło ją wzruszenie. Ale tak wielką była później skrucha jej, iż nie może nadal kochać swego męża, że dałaby się prawdopodobnie zadreńczyć na śmierć hrabinie Marcie, gdyby nie rozmowa ze swoją gospodynią, którą miała pewnego wieczora.

— Pani hrabina *powinna* z panem hrabią pomówić — odezwała się kobieta. — Boże mój! pani hrabina to takie dziecko. Pani hrabina sama nie wie, na co się zanosi, ale ja dobrze widzę.

A właśnie *tego* nie chciała mężowi powiedzieć, skoro jej nie ufa. Tej nocy ubrała się cichutko i wyszła z domu. Ubrana była jak zwykła dziewczyna wiejska, a w ręku niosła zawiniątko. Postanowiła dom ten opuścić i nigdy do niego nie wrócić. Nie uciekała, aby się uchronić od męki i tortur. Teraz jednak zdało się jej, że Pan Bóg dał jej znak, iż musi odejść, chcąc ratować siły i zdrowie.

Nie udała się na zachód poprzez jezioro, gdyż tam mieszkał ten, którego kochała. Nie poszła też na północ, gdzie mieszkało wielu jej przyjaciół, ani na południe, gdyż daleko na południu leżał jej dom rodzinny, a do tego nie chciała się zbliżać. Lecz podążyła na wschód, wiedziała, że tam niema ani domu, ani kochanych przyjaciół, ani znajomych, ani pomocy, ani pociechy.

Nie lekkim szła krokiem, nie czuła się bowiem pojednaną z Bogiem. Ale mimo to była rada, że na przyszłość ciężar grzechu dźwigać będzie między obcymi. Obojętne spojrzenia spoczywać na niej będą kojąco, jak zimna stal położona na obrzmiałe miejsce na ciele.

Chciała iść przed siebie, pókiby nie natrafiła na chatkę u skraju lasu, gdzieby nikt jej nie znał. — Widzicie, co się ze mną dzieje — powie im — a rodzice mnie z domu wygnali. — Nakarmijcie mnie i odzieście, dajcie mi dach nad głową, dopóki sobie sama na chleb nie będę mogła zarobić. Mam trochę pieniędzy.

Tak szła przez jasną noc czerwcową, gdyż maj zeszedł jej na ciężkich przejściach.

Ach maj, piękny czas, kiedy brzozy mieszają swoją jasną zieleń z ciemniejszą barwą lasów sosnowych, kiedy wiatr z południa dalekiego wieje po morzu, przepojony ciepłem.

Muszę się wydawać niewdzięczniejszą od innych, których darami swojemi obdarzyłeś ty, piękny miesiącu! Ani jednym słowem kraszy twojej nie wyśpiewałam.

Ach, maju, ty luby, jasny miesiącu! Czyś kiedy podglądał dziecię, które siada na kolanach matki i słucha baśni? Póki słucha o strasznych walkach i gorzkich cierpieniach pięknych księżniczek, trzymając głowę do góry i oczy otwarte, gdy jednak matka zacznie mówić o szczęściu i blasku, zamyka dziecię oczy i zasypia słodko z główką do jej piersi przytuloną.

Takim dziecięciem jestem i ja. Niech inni słuchają opowiadań o kwiatach i blasku słonecznym; ja wolę ciemne noce, pełne widm i wypadków, ja wolę smutną dolę, żalobą okryte porywy serc grzesznych.

ŻELAZO Z EKEBY.

Było to na wiosnę; ze wszystkich żelaznych hut Wermlandu miano przewieźć żelazo do Göteborgu.

Ekeby jednak nie miało co wysłać. W jesieni długo nie było wody, a na wiosnę przeszedł majątek pod rządy rezydentów.

Wówczas pieniężność mocne gorzkie piwo po szerokich granitowych stopniach, któremi spadała Björkse, a jezioro Löb wypełnione było nie wodą, lecz wódką. Za ich rządów nie kładziono surowca na kowadło; bez surdutów, w drewnianych trepach, stali kowale przed ogniskiem, obracając ogromne zrazy pieczeni na długich roznach, a chłopaki trzymały nad ogniem nadziewane kapłony. W owych czasach tańczyło się na zabój. Sypiano na heblarni, grano w karty na kowadło. Żelaza wtedy nikt nie kuł.

Ale za nadejściem wiosny zaczęto w biurach handlowych Göteborga dopytywać się o żelazo

z Ekeby. Wydobywano z biurek kontrakty z podpisami majora i majorowej, gdzie zapowiadano dostawienie wielu setek centnarów.

Lecz cóż rezydentów obchodziły kontrakty majorowej? Oni myśleli o zabawach, muzyce i przyjęciach. Starali się, aby te nie poszły w zapomnienie.

Nadeszło żelazo z Stömne, zjawilo się również i to z Sölje. Z Kymsbergu, po przez stepy dostało się żelazo do jeziora Wenern. Z Uddeholmu przywieźli, z Munkeforsu, ze wszystkich wielkich dóbr w około. Gdzież jednak żelazo z Ekeby? Czyż Ekeby przestało być pierwszym pomiędzy hutami żelaznemi całego Wermlandu? Czyż nikt nie stara się o utrzymanie honoru starej firmy? Ach nie; rezydentom jest to obojętne, oni starają się tylko, by o zabawach nie zapomniano. Nad czemże jeszcze miałyby pracować ich słabe mózgi?

A wodospady i potoki, promy i rzeki, służą i porty dziwią się i pytają: — Czyż żelazo z Ekeby nie stawi się na targ?

A w głębi lasu zaczyna się śmiać węglarz, zda się, jak gdyby głosy wielkich młotów ciemnych kuźni śmiały się drwiąco, piwnice otwierają swoje szerokie paszcze i wtórują szyderskim śmiechem. Pulpity w biurach, gdzie przechowuje się kontrakty majorowej, trzęsą się ze śmiechu. — Czyście słyszeli coś podobnego? Niema żelaza w Ekeby? W najlepszej hucie z całego Wermlandu niema żelaza! Ocknijcie się lekkomyślni! Ocknijcie się bezdomni! Ścierpicieź, aby taka hańba spadła na Ekeby? Jeżeli szczerze kochacie ten najpiękniejszy szmat zielonej ziemi, jeżeli szczerze wdychacie do niego z oddali,

jeżeli nie możecie imienia jego wymienić wśród obcych, aby wam lzy nie stanęły w oczach, ocknijcie się rezydenci, ocalcie honor Ekeby!

Bo cóż z tego, że w samem Ekeby młoty spoczywały, pracowano przecież w sześciu innych hutach, które do was należą? Tam znajdzie się zapewne żelaza więcej niż trzeba.

Wyprawia się więc Gösta Berling, aby się porozumieć z rządcaami tamtych hut.

W Högforsie, które leży nad rzeką Björksee, tuż pod Ekeby, niema się co pytać. Lasy zbyt blisko i zostawały pod bezpośrednim niemal wpływem rezydentów. Pojechał kilka mil dalej na północ, póki nie dotarł do Lotaforsu. Śliczna to była miejscowość, przyznać trzeba. Górna część jeziora Löb rozciągała się po jednej stronie, z tyłu leżała skała Gurlitt ze swoim ostrym szczytem i dziko romantycznym wyglądem, tak odpowiednym dla odwiecznej góry. Ale kuźnia nie taką być powinna. Koło rozpędowe ma złamane, a było takim przez rok okrągły.

Dlaczegoż go nie naprawiano?

— Stolarz, jedyny w tej stronie stolarz, któryby je mógł naprawić, był zajęty gdzieindziej. Nie mogliśmy kuć ani kawaleczka żelaza.

— A dlaczegoż nie posłaliście po stolarza?

— Posłać po stolarza? Jak gdybyśmy nie posyłali byli dzień w dzień! Ale nigdy nie mógł przyjechać. Miał dużo zajęcia koło altan i kręgielni na Ekeby.

Wtedy nagle zrozumiał Gösta, co go czeka w tej podróży.

Pociągnął dalej do Björnidet. Czy jest tu żelazo? Nie, naturalnie, że niema. Nie mieli przecież węgla, a z Ekeby nie mogli się doprosić ani pieniędzy na zapłacenie węglarza, ani ludzi do przewiezienia węgla. Przez całą zimę huta spoczywała.

Tedy rzuca się Gösta dalej, na południe. Przybywa do Han, na wschodniem brzegu jeziora, do Löfstafosu, położonego w głębi lasu i do Elgforsu, ale i tam nie więcej ma powodzenia. Nigdzie nie mają żelaza, a wszędzie winni są rezydenci, że tak się stało.

Wraca więc Gösta do Ekeby, a rezydenci spoglądają ponurym wzrokiem na kilka centnarów, będących na składzie. Pochylają głowy pełni żalu i wstydu, słyszą bowiem, jak cała natura śmieje się z Ekeby, zda im się, jakby słyszeli ziemię wstrząsaną łkaniem, trawę i kwiaty skarżące się, że przepadła cześć i sława Ekeby.

Ale co tu dużo mówić i dziwić się? Dość, że zjawilo się żelazo z Ekeby!

Jest, jest nad rzeką Klar zładowane na promach, gotowe popłynąć rzeką do Karlstadu, tam się je zważy, poczem okrętem przez jezioro Wenern dostanie się do Göteborgu. Ocalony zatem honor Ekeby!

Ale jak się to stało? W Ekeby zaledwie było kilka centnarów żelaza, a w sześciu innych hutach wcale nic nie było. Jakżeż to możliwe, aby ciężko ładowne promy wiozły niesłychaną moc żelaza do

wagi w Karlstadzie. Ha, o to trzebaby się popytać rezydentów.

Oni przebywają osobiście na pokładzie ciężkiego, brzydkiego promu; sami chcą żelazo dostawić z Ekeby do Göteborgu. Nie powierzają żelaza zwyklemu przewoźnikowi. Z fiaszkami i koszykami zapasów, z waltornią i skrzypcami, ze strzelbami, wędkami i kartami wsiedli rezydenci. Chcą wszystko, co możliwe, uczynić dla drogiego żelaza i nie opuszczają go, póki go nie wyładują w Göteborgu. Sami naładowali wory, sami pilnować będą żagli i steru. Do tego są jak stworzeni. Czyż istnieje ławica piasku, skała w jeziorze Wenern, którychby nie znali? Nie władająż sterem i linami żaglowymi tak wprawnie, jak smyczkiem i lejcamy?

Żaden z rezydentów nie pozostał w domu. Eberhard opuścił swój pulpit, a stryjaszek Krzysztof swój kąć pod piecem. Nawet łagodny Lövenberg wyruszył z nimi. Nikt nie chciał pozostać w domu, gdy rozgrywa się sprawa honoru Ekeby.

Ale na Lövenberga niedobrze wpływa widok rzeki Klar, nie widział jej od lat trzydziestu siedmiu i tak też długo na żadną łódź nie stąpił nogą. Nie może znieść błyszczących powierzchni morza i szarych rzek. Przypominają mu się nazbyt smutne rzeczy, gdy się znajdzie na wodzie, dlatego też stale jej unika, ale dziś nie mógł się utrzymać w domu. I on chce współdziałać w ratowaniu sławy Ekeby! Przed trzydziestu siedmiu laty widział Lövenberg narzeczoną swoją, znikającą w falach tej rzeki i od tego czasu głowa jego wciąż niedomaga.

A gdy tak stoi i wpatruje się w nurty, coraz

większa mgła zasnuwa mu umysł. Szara rzeka, płynąca w licznych, drobnych, skrzących się falach, wydaje mu się ogromnym węzem o srebrnych łuskach, czatującym na zdobycz. Wysokie, żółte, piaszczyste brzegi z rzadkimi kępami trawy, przez które rzeka wyłobila sobie koryto, są ścianami przepaści, na której dnie czyha wąż, a szeroki gościńiec, wrzynający się głęboko w ścianę, wijący się przez piasek aż do przewozu, zkad promy odbijają — to wejście do strasznej jaskini mordu.

I drobny człowiek stoi i wpatruje się osłupiałemi, małemi, niebieskimi oczkami w wodę. Długie, białe włosy wiatr rozwiewa, a lica, zazwyczaj lekko zaróżowione, są obecnie blade z przerażenia. Wie na pewno, jakgdyby mu kto powiedział, że niebawem od drogi nadejdzie ktoś i rzuci się w paszczę czatującego węża.

Rezydenci gotowi są do odjazdu. Chwytają długie żerdzie, aby odepchnąć promy na wodę, wtem krzyczy Lövenberg: — Wstrzymajcie się! Na miłość Boską, wstrzymajcie się!

Przypuszczają, że jestto początek szału, który spowodowało kołysanie się promu, mimowoli jednak opuszczają żerdzie, a on, widząc, jak rzeka czyha na łup, wskazuje ruchem ostrzegającym na gościńiec, jakgdyby widział kogoś zbliżającego się.

Wiemy przecież wszyscy, iż w życiu zdarza się nieraz tak dziwny zbieg okoliczności, jak to, co teraz nastąpi. Ktoby się dziwić jeszcze potrafił, zdumieje się, że rezydenci właśnie tego ranka, następującego po nocy, w którą hrabina Elżbieta wyprawiła się w podróż na wschód, znajdując się z pro-

mami swojemi u przewozu rzeki Klar. Ale byłoby chyba jeszcze niezwyklejsze, gdyby młoda hrabina nie miała znaleźć ratunku w swojej niedoli. Zdarzyło się właśnie tak, że ona, która przez całą noc szła, w tej chwili zjawiała się u przewozu, gdy rezydenci odbijali od lądu. Nieruchomo stali i patrzyli, jak rozmawiała z przewoźnikiem, który swoją łódź oglądał. Była w ubraniu wieśniaczki; nie domyślali się zgoła, kto to jest. A mimo to wpatrywali się w nią, gdyż zdawała im się znajomą. Stojąc i rozmawiając z przewoźnikiem, ujrzała na gościńcu tuman kurzu, a z niego wyłoniła się duża żółta karoca. Zrozumiała, że już opuściła ziemię Borgii, zkad wyjechali w pościg za nią i że ją schwytają. Nie było co myśleć, aby mogła ująć łodzią, a jedyne miejscem schronienia, jakie tu widziała, były promy rezydentów. Rzuciła się ku nim, nie patrząc, kto jest na pokładzie. I dobrze, że nie widziała, inaczej byłaby wołała pod konie się rzucić, niż u nich szukać obrony.

Wszedłszy na pokład, wołała tylko: Ukryjcie mnie! Ukryjcie mnie! A potem zachwiała się i padła na ładunki. Rezydenci zaklinali ją, by się uspokoiła. Natychmiast odbili od brzegu, aby prom puścić z prądem, dążącym do Wermlandu. W tej samej chwili dotarła karoca do przewozu.

W powozie siedział hrabia Henryk z hrabiną Martą. Hrabia wysiadł i podszedł do przewoźnika spytać się, czy nie widział hrabiny. Ale ponieważ wstydził się pytać o zbiegłą żonę wprost, pytał ogródkami. — Zginęło coś — zaczął.

— Tak? — zdziwił się przewoźnik.

— Zginęło coś. Pytam więc, czy on nie widział czego?

— O cóż panu chodzi?

— Ach, wszystko jedno o co. Pytam, czy on dziś przewoził kogo.

W ten sposób naturalnie nic się nie dowiedział i hrabina Marta musiała się sama rozmówić z chłopem. W minutę później wiedziała już, że zaginiona przebywa na pokładzie jednego z płynących powoli promów.

— Cóż to za ludzie znajdują się na tym promie?

— Toć przecież rezydenci, jak ich wszyscy wołają!

— Ach! — zawołała hrabina. — No, to w dobre ręce dostała się żona twoja, Henryku! Możemy więc spokojnie zawrócić.

Na promie tymczasem wcale nie było tak wesoło, jak sobie wyobrażała hrabina Marta. Póki widna była żółta karetą, siedziała młoda kobieta wleknięta, skulona na ładunku, nie ruszając się i nie mówiąc. Tylko uparcie patrzyła w wodę.

Prawdopodobnie rezydentów poznała dopiero, gdy ujrzała karetę znikającą. Wtedy zerwała się, jak gdyby znów chciała uciekać, lecz wstrzymali ją najbliżsi stojący, poczem opadła na dawne miejsce z cichym jękiem.

Rezydenci nie śmieli ani rozmawiać z nią, ani się wypytywać. Zdała im się być blizką obłądu.

Po chwili dopiero uczucie odpowiedzialności

zaczęło dręczyć lekkomyślne głowy. Już sama sprawa żelaza była wielkim ciężarem dla ramion nienawykłych, a teraz w dodatku ten kłopot z młodą, szlachetnego rodu kobietą, która porzuciła męża.

Gdy spotykali się z tą młodą osobą na wieczorkach, ten i ów mimowoli przypominał sobie młodszą siostrę, którą niegdyś kochał. Gdy w zabawie mocowali się z nią, dotykali się jej ostrożnie, a rozmawiając, musieli się strzedz, by nie używać brzydkich wyrazów. Jeżeli, bawiąc się z nią, obcy jakiś chłopiec nazbyt dziko uganiał się za nią, lub ośmielił się śpiewać w jej obecności jaką nieprzyzwoitą piosenkę, rzucali się w bezgranicznym oburzeniu na zuchwalca, bijąc go bez miłosierdzia, gdyż ich młodsza siostra nie powinna była słyszeć nic złego, nie powinna była poznać żadnego cierpienia, nie powinna była spotykać się z nienawiścią, ani nawet z niecierpliwością.

Hrabina Elżbieta była wesolutką siostrą wszystkich rezydentów. Gdy swoje drobne rączęta kładła w ich ciężkie dłonie, zdało się, jakgdyby mówiła:

— Widzicie, jaka jestem delikatna, ale wy jesteście moimi starszymi braćmi, powinniście chronić mnie przed drugimi i przed sobą samymi! — To też w jej towarzystwie byli prawdziwymi rycerzami.

Teraz spoglądali na nią z przerażeniem i nie mogli jej poznać. Zmizerowana, wychudła, szyja straciła krągłość, twarz stała się przezroczystą. Widocznie uderzyć się musiała o coś w swojej wędrówce, gdyż z malej ranki na skroni sączyła się kropelkami krew, a blond loki, spadające jej na czoło, skleily się od krwi zakrzepłej. Suknia jej,

zbrukala się w tej wędrówce po zroszonych drogach, a buciki się zniszczyły. Rezydentów ogarnęło przykre uczucie, jak gdyby im obcą była. Hrabina Elżbieta, którą oni znali, nie miała takich dziko płonących oczu. Ich młodszą siostrę więc doprowadzono do szaleństwa niemal. Zdało się, jakby dusza z innych światów zesłała walczyć o władzę nad tem mizernem ciałem.

Ale niepotrzebnie się kłopotczą, co z nią zrobić. W niej budzą się znów dziwne myśli. Pokusa czyha na nią. Bóg, chcąc ją wystawić na próbę, zesłał jej przyjaciół. Czyż porzuci drogę pokuty?

Zerwała się, wołając, że musi iść dalej.

Rezydenci usiłują uspokoić ją, zapewniając, że ochronią ją od wszelkich prześladowań!

Ale ona powracała wciąż do swojej prośby, by jej pozwolono wsiąść w łódkę przymocowaną z tyłu promów, a dopłynąwszy do brzegu, pójdzie dalej pieszo.

Nie mogli jej jednak puścić. Cóżby się z nią stało? Lepiej, żeby z nimi pozostała. Wprawdzie są biednymi starcami, ale znajdują sposoby i środki, aby jej dopomóżd.

Wtedy ją ręce łamać i błagać, by ją puścili. Nie mogli spełnić jej prośby. Widzieli, jaka jest słaba, zbiedzona, mogłaby upaść na gościńcu.

Przez cały czas Gösta Berling stał zdala od od niej, patrząc w przeciwną stronę.

Może młoda hrabina nie byłaby mu rada? Nie wiedział, ale w duchu cieszył się z szczęśliwego trafu. Teraz nikt nie wie, gdzie się znajduje — myślał — będziemy ją mogli zabrać z sobą do Ekeby. Tam

ją ukryjemy. Będziemy dla niej tacy dobrzy! Będzie naszą królową, naszą panią, a nikt nie będzie wiedział, gdzie jest. Będziemy jej strzegli tak dobrze, tak dobrze! Może będzie się czuła szczęśliwą wpośród nas, wszyscy starzy będą ją otaczali ojcowską opieką, jakgdyby była ich ukochaną córką. Ona zrobi z nas ludzi, będziemy pili orszadę i mówili po francusku. A gdy rok upłynie? Pomyśli się o tem!

Nie odważył się nigdy uświadomić sobie, że ją kocha. Posiadać jej nie mógł bez grzechu, a zbrukać jej nie chciał — tyle wiedział jedynie. Ale ukryć ją w Ekeby, być dla niej dobrym teraz, gdy tamci byli źli, pozwolić jej używać wszystkiego, co świat ma dobrego — ach, jakież sen! jakież sen rozkoszny!

Zbudził się z marzeń, widząc młodą hrabinę rozpaczoną, słysząc w słowach jej ostry dźwięk rozpacz. Rzuciła się na kolana przed rezydentami i błagała, by jej dopomogli.

— Bóg mi jeszcze nie przebaczył, puście mnie! — wołała.

Gösta wiedział, że żaden z tamtych nie jest w stanie jej posłuchać, rozumiał, że on to musi zrobić. On, który ją kochał, musi to uczynić.

Tak mu ciężko było iść, jakgdyby każdy członek w ciele jego stawiał opór jego woli, lecz dołócił się do niej i powiedział, że on ją przewiezie.

Natychmiast się podniosła. Zaniósł ją do łodzi i przewiózł na drugi brzeg. Przybił do wąskiej ścieżki i pomógł jej wsiąść.

— Cóż z panią hrabiną będzie? — zapytał.

Z powagą podniosła palec i wskazała na niebo.

— Gdyby pani hrabina znalazła się... nie mógł dalej mówić, głos uwiązł mu w gardle, ale ona go zrozumiała.

— Dam panu znać, gdy będę potrzebowała pańskiej pomocy.

— Tak chętnie osłaniałbym panią przed wszelkim złem — powiedział.

Podala mu rękę na pożegnanie, a on nie zdołał wymówić ani słowa więcej. Zimna i martwa spoczęła jej dłoń w jego ręce.

Hrabina obecnie rozumiała tylko wewnętrzne głosy, które wypędzały ją między obcych ludzi. Może nawet nie wiedziała, że człowiek, który się z nią rozstał, był właśnie tym, którego kochała.

On pozwolił jej odejść i zawrócił do rezydentów. Gdy stanął na promie, drżał ze zmęczenia i wyglądał śmiertelnie znużony i wyczerpany. Zdawało mu się, że to była najcięższa praca w jego życiu.

Jeszcze przez kilka dni trzymał się, póki honor Ekeby nie został uratowany. Doprowadził żelazo do wagi, potem na długo opuściły go siły i ochota do życia.

Rezydenci nie dostrzegli zmiany, póki znajdowali się na pokładzie. Tu wyteżał każdy nerw, aby utrzymać dobry humor dla honoru Ekeby. Jakżeby im się sztuka udała, gdyby się do niej zabierali ze smutnemi minami, z omdlałemi sercami?

Jeżeli prawdą jest, co opowiadają, że rezydenci mieli więcej piasku niż żelaza na promach,

DOM LILIENCRONY.

Między rezydentami przebywał jeden, o którym wspominałam często, jako o wielkim muzyku. Był to wysoki, grubokościsty mężczyzna z potężną głową i czarnymi, gęstymi włosami. Wtedy nie przekroczył zapewne czterdziestu, ale że twarz miał o grubych rysach i dużo powagi w ruchach, wielu przypuszczało, że jest starszy. Był to dobry człowiek bez melancholik.

Pewnego popołudnia zabrał skrzynki pod pachę i opuścił Ekeby. Z nikim się nie żegnał, chociaż postanowił nigdy tu więcej nie wrócić. Zbrzydło mu to życie od chwili, gdy ujrzał nieszczęśliwą hrabinę Elżbietę. Szedł bez odpoczynku cały wieczór i całą noc, póki wczesnym rankiem, o wschodzie słońca nie dotarł do małego dworku, Löfdala, który był jego własnością.

Było jeszcze tak wcześnie, że wszyscy tu spali. Liliencrona usiadł na przyzbie, pod głównym bujnym i przyglądał się swojemu domostwu. Boże

drogi, piękniejszego domu chyba na świecie niema! Łąka pod domem jaśniej delikatną, zieloną trawką. Takiej zieleni nigdzie nie widział. Na niej paść się mogły owce i dzieci harcować, a trawa zawsze była jednakowo bujna i świeża. Nigdy jej nie koszone, ale co najmniej raz na tydzień kazała gospodyni wygrażyć wszystkie gałązki, słomę i zeschnięte liście. Spojrzał na żwirową drogę pod domem i nagle cofnął wyciągnięte nogi. Dzieci do późnego wieczora ładnie ją wygracowały, a jego duże nożyśka popsuły całą ich robotę. Jak też tu wszystko szybko rośnie! Jarzębiny, które stanowiły niejako straż na podwórzu, były tak wysokie, jak buki, a korony miały tak rozłożyste, jak dęby. Takich drzew bez wątpienia nie widziano dotąd. Wspaniałe były z temi grubemi pniami, pokrytymi żółtym porostem i wielkimi, białymi pękami kwiatów, wycierających z pośród ciemnego liścia. Mimowoli nasunęło mu się na myśl gwiaździste niebo. Rzeczywiście, nadzwyczajna rzecz, jak te drzewa tu rosły! Oto stara wierzba tak gruba, że dwóch ludzi by jej nie objęło; teraz jest już spróchniała, rozłupana, piorun zdarł jej koronę, ale nie chciała ginąć. Co wiosnę opuszczały się świeże, zielone pęki z pogiętego pnia, aby pokazać, że wierzba żyje.

Wilczyna na wschodniem skrzydle domu tak wyrosła, że ocieniała dom cały. Dach mchem porośnięty pobielał od opadłych płatków kwiatowych, gdyż wilczyna już okwitła. A dla brzoź, które rosły tu i owdzie małemi kępkami, był ten dworek prawdziwym rajem. Rosły tu one w tak rozmaity sposób, jakgdyby postanowiły sobie naśladować

wszystkie drzewa. Jedna podobna była do lipy gęstej i bogatej w liście z ogromną koroną, inna była wysmukła, piramidalna jak topola, inna znów gałęzie zwieszała niby wierzba płacząca. Nie było dwóch jednakich, ale piękne były wszystkie.

Potem wstał i obszedł cały dom. Ogród taki był piękny, że aż przystanął i głęboko wdychał woń jego. Jabłonie kwitły... tak, wiedział, że to ich pora, widział je i w innych ogrodach, ale ta była tylko różnica, że nigdzie tak nie kwitły, jak w jego sadzie, na który patrzył od lat chłopięcych. Ze złożonemi rękami, ostrożnie stąpał po żwirowej drodze.

Ziemia była biała, drzewa były białe, tu i owdzie z bladoróżowym odcieniem. Czegoś równie pięknego nie widział dotąd. Znał każde drzewo, jak się zna rodzeństwo i kolegów. Kwiaty zimówek były zupełnie białe, letnie jabłka miały kwiat różowawy, a rajskie całkiem czerwony. Najpiękniejsza była stara, dzika jabłoń, mająca owoce tak cierpkie, że ich nikt nie tknął. Ona nie szczędziła sobie kwiatów, w słońcu wyglądała jak ogromna kopia śniegu.

Pomyślcie, że to było rano, bardzo rano! Rosa błyszczała na wszystkich listkach — splukany był wszelki pył. Pierwsze promienie słońca musnęły załesione wzgórza, u stóp których leżał dworek. Zdawało się, jakgdyby od nich zapaliły się czubki sosen. Na świeżych koniczynach, na polach żytnich i jęczmieniowych i na delikatnych kielkach owsianych zawisła leciuchna mgła, niby najdelikatniejszy welon, a cienie znaczyły się ostro, jak przy blasku księżycy.

Potem przystanął i przyglądał się grządkom warzywnym. Wie, że żona jego pracowała koło nich

razem ze służbą. Kopały, grabiły, nawoziły, pracowały póty, póki ziemia nie stała się lekką i pulchną. Wygładziwszy grządkę i obrównawszy brzegi, wzięły sznur i pale i podzieliły na pasy i czworoboki. Potem siały, sadziły, póki wszystkie pasy i czworoboki nie były obsiane i obsadzone. Dzieci, rozumie się, były przytem zadowolone i szczęśliwe się czuły, że wolno im było pomagać, chociaż ciężka to była dla nich praca stać w pochylonej pozycji i rękę wyciągać poprzez szerokie grządki. A praca ich wydatna była, można sobie wyobrazić!

Teraz zaczynają roślinki wypuszczać kielki. Niech je Bóg błogosławi! Jakie one śmiałe, ta fasola i bób z temi dużemi, grubemi liśćmi, jakie kielki! a jak równo i ładnie nabrzmiały marchew i buraki! Najzabawniejsze były małe, karbowane listki pietruszki, które nadniosły cokolwiek ziemię, jak-gdyby się bawily w chowanke.

Była też i mała grządka, gdzie pasy nie były takie równiutkie, a małe czworoboki wyglądały, jak próbki wszystkiego, co można zasiać lub zasadzić. Był to ogródek dzieci.

Wtedy Liliencrona nagle ujął skrzypce i zaczął grać. Ptaki w gąszczu ogromnym, chroniącym ogród od północnego wiatru, uderzyły w śpiew. Żadne stworzenie, które było obdarzone głosem, nie mogło milczeć w taki śliczny ranek.

Liliencrona chodził po ogrodzie i grał.

— Nie, piękniejszego kawalka ziemi niemal — myślał. — Czemuż jest Ekeby w porównaniu z Löfdalą? Dom jego jest tylko jednopiętrowy, stoi na skraju lasu, górę ma za sobą, a długą dolinę na

przedzie; nie na nim nadzwyczajnego: niema tu jeziora, ani wodospadu, ani wybrzeża do spaceru, ani parków, ale przecie jest ładnie. Piękne to, jako dobre, ciche ognisko domowe. Życie tu takie łatwe. Wszystko, co gdzieindziej wywołałoby gorycz, nieważ — tu zażegnane jest słodyczą. Tak powinno być w każdym domu...

A tymczasem żona leży i śpi w pokoju, wychodzącym na ogród. Zbudziła się nagle i słucha, ale się nie rusza. Leży uśmiechnięta i słucha. Muzyka zbliża się coraz bardziej, w końcu zdaje się, jakby muzyk stanął pod jej oknem. Nie pierwszy to raz słyzy skrzypce pod swojemi oknami. Jej mąż zwykł w ten sposób oznajmiać swoje przybycie, gdy rezydenci dopuścili się jakiegoś zbyt dzielnego figla.

Stoi w ogrodzie, spowiada się i błaga przebaczenia. Opowiada jej o złych mocach, które go odrywają od tego, co najbardziej kocha na świecie: od niej i od dzieci.

Kiedy on gra, ona wstaje, ubiera się, nie wiedząc niemal, co robi — taka jest przejęta jego muzyką.

— Nie zbytek, nie chęć dobrego życia, pociągają mnie — gra — nie miłość do innych kobiet, nie sława, lecz kusząca rozmaitość życia: jego piękno, jego gorycze, jego bogactwo muszę czuć naokół siebie. Ale teraz dość mam tego, teraz wszystko mi się już znudziło. Nie porzucę już nigdy swojego domu. Przebacz mi, bądź wyrozumiałą!

Wtedy odrzuca na bok firankę, otwiera okno i ukazuje mu się jej twarz piękna i łagodna.

Ona jest dobra i rozumna. Wzrok jej zda się błogosławić wszystkiemu, na co padnie, co mu w drodze stanie.

Ona prowadzi i osłania. Gdzie ona przebywa, musi wszystko rosnąć i udawać się. Ona wnosi z sobą szczęście.

On wskakuje na okno i jest już przy niej szczęśliwy jak kochanek.

Potem znosi ją do ogrodu, pod jabłonie. Tłómaczy jej, jakie wszystko jest piękne, pokazuje jej grządki kwiatowe i sadzonki dzieci i małe, wesołutkie listki pietruszki.

Gdy się dzieci budzą, powstaje radość i zachwyty z powrotu ojca. Biorą go też całkowicie w arendę. Musi obejrzeć wszystko, co nowe i godne widzenia: mały młyn, który sobie sporządziły na potoku, gniazdo ptasie na wierzbie i młode karasie w stawie, których tysiące pływa pod powierzchnią wody.

Potem ojciec, matka i dzieci odbywają daleką przechadzkę po polach. On chce widzieć, czy żyto obrodziło, jak rośnie koniczyna, jak ziemniaki zaczynają wypuszczać z gruntu karbowane listeczki.

Musi widzieć krowy, wracające z pastwiska, musi powitać nowonarodzone cielęta i jagnięta, poszukać jaj, musi wszystkie konie uczęstować cukrem.

Dzieci wiszą przy nim cały dzień. Nie chcą słyszeć o szkole, o nauce — tylko z ojcem się waleją po dworze.

Wieczorem grywa im polki i przez cały dzień bawi się z nimi tak dobrze, że zasypiają z modli-

twą na ustach, aby tatuś na zawsze przy nich został.

I zostaje całych dni ośm, a przez cały ten czas jest wesoły jak dziecko. Zakochany jest we wszystkim, co jest w domu: w żonie i w dzieciach — nie myśli zgola o Ekeby.

Ale nadchodzi ranek, kiedy znika. Nie mógł dłużej wytrzymać — za dobrze mu było. Ekeby było tysiąc razy gorsze, ale Ekeby leżało w samym środkowisku wypadków.

Ach, czegoż tam nie było, o czym mógł marzyć, co mógł wygrać! Jakżeż mógł żyć zdala od czynów rycerskich, zdala od długiego jeziora Löf, o którym krążyło tyle baśni?

W jego dworku szło wszystko spokojnym trybem. Wszystko rosło i rodziło pod słodką pieczę gospodyni. Wszyscy tu byli pełni spokojnego szczęścia. Wszystko, co gdzieindziej wywołałoby kłótnie, rozgoryczenie, tu przechodziło bez bólu i skargi. Wszystko było jak należy. Ale skoro pan domu tęsknił do życia rezydentów z Ekeby, cóż było robić? Czyż zda się na co użalać się na słońce, że co wieczora znika na zachodzie i zostawia ziemię w ciemności?

Cóż jest niepokonalnego, prócz niewoli? Co jest pewne zwycięstwa, prócz cierpliwości?

CZAROWNICA.

Czarownica zeszła z gór nad brzegi jeziora Lof. Tam widziano ją: małą, zgarbioną, okrytą kozuchem, opasaną pasem srebrem wykładanym. Dlaczego ze swojej groty zeszła między sadyby ludzkie? Czego stara z gór szuka wśród zielonych dolin?

Zebrze! Chciwa jest ofiar, mimo bogactwa. W grotach górskich ma złożone ogromne, srebrne sztaby, a na soczystych łąkach, w głębi gór pasą się jej wielkie stada czarnych krów o złotych rogach. Ona sama chodzi w trepach, w zatłuszczonym kozuchu, którego jasny rąbek odrzyna się jeszcze cokolwiek od brudu wieków. Fajkę napycha sobie mchem i najuboższych nie waha się prosić o jałmużnę. Lichoby tam dawało takiej babie, co to ani podziękuje, ani nigdy nie ma dosyć!

Stara jest bardzo. Jakżeż to dawno temu, gdy jasny blask młodości rozlewał się po jej szorokiej twarzy o ciemnej cerze, lśniącej od tłuszczu, z nosem płaskim i wązkiemi oczyma, które z pośród

brudu goreją jak rozżarzone węgle pod popiołem? Jakże to dawno, gdy małą dziewczynką siedziała na płocie szalasu i grając na długiej fujarce, przysyłała pasterzowi odpowiedź na jego miłosne pieśni? Żyła ona setki lat. Najstarsi nie mogą sobie przypomnieć czasu, w którymby nie chodziła po kraju. Ojcowie widzieli ją już starą, gdy oni byli młodymi. A jeszcze nie umarła! Ja sama ją widziałam.

A potężną jest ta córa Finnów, znających się na sztuce czarnoksiężkiej — nie boi się nikogo. Jej szerokie nogi nie znaczą lekliwych śladów na zwierze gościńca. Ona potrafi grad zakłąć, ona kieruje błyskawicami. Umie ona krowy na manowce sprowadzić i szcuć wilki na owce. Ona może zrobić dużo złego, a mało dobrego. Najlepiej więc żyć z nią w zgodzie. Jeżeli cię poprosi o kozę, daj jej, inaczej koń ci padnie, dom się zawali, krowa zasłabnie, lub dziecko umrze, albo oszczędna gospodyni postrada rozum.

Nigdy nie jest pożądaną, a jednak najlepiej przyjmować ją z uśmiechem. Kto wie, w czyjej sprawie zeszła! Celem jej bywa nie tylko napełnianie sobie żebraczego wora. Złe wróżby kroczą w ślad za nią: lisy i wilki wyją przeraźliwie o szarej godzinie, a wstrętne czerwone i czarne robactwo z lasów przypelza aż pod progi domu.

A dumna jest! W głowie jej mieści się wszystka mądrość przodków. Wielkiej mocy runy wyrznięte są na jej lasce, której nie sprzedalaby za wszystko złoto doliny. Umie ona śpiewać czarodziejskie pieśni, może przez jezioro strzelać z pistoletów za-

czarowanych, zawsze śmierć sprowadzających, umie sprowadzać burze.

Co też ona myśli o ludziach mieszkających w dolinie, ona, przybywająca z mroków leśnych, z ogromnych gór? Wierząc w Thora, pogromcę jotungów, ma o chrześcianach takie pojęcie, jak wilki o psach oswojonych. Ludzie wzdygają się z przerażenia, widząc ją, ale potężna córa pustkowiec spokojnie kroczy w pośród nich, spokojnie właśnie wobec ich przerażenia. Nie zapomniano o bohaterkich czynach jej rodu, jak również i jej własnych. Jak kot spuszcza się na swoje pazury, tak ona liczy na swój rozum i na moc, tkwiącą w czarodziejskich pieśniach bogów. Żaden król nie jest tak pewny swojej władzy, jak ona państwa strachu, którem włada.

Tak przeszła czarownica kilka miejscowości. Teraz przybyła do Borgu i nie waha się wstąpić do pałacu. Przez kuchnię rzadko wchodzi, kieruje się przed frontowe wejście, szeroką swoją nogą w trepach stąpa po żwirowej ścieżce, obrzeżonej kwiatami, tak spokojnie, jakgdyby ona wiodła do jej szalasu.

Zdarzyło się, że właśnie wyszła na taras hrabina Marta, rozkoszować się pięknnością czerwcowego dzionka. Na żwirze, pod schodami, stały właśnie dwie dziewczyny. Wracały z wędzarni i niosły na drągu świeżo uwędzoną szynkę.

— Może pani hrabina zobaczy szynkę i oceni, czy jest dostatecznie uwędzona? — zapytała jedna z dziewcząt.

— Ach, jaka ciemna, lśniąca skóra, a ta gruba

warstwa tłuszczu! I ten świeży zapach jałowca, który wydziela z siebie szynka! Co za boski kąsek! Czarownica musi go mieć! — kładzie więc rękę na tłuszczu.

Córa gór nie zna próśb, żebraniny. Czyż to nie z jej łaski rosną zioła, żyją ludzie? Mróz, niepogoda i powódź—wszystko może zesłać. Dlatego też jej nie przystoi prosić lub żebrać. Kładzie rękę na tem, co chce mieć i należy do niej.

Ale hrabinie Marcie nic nie wiadomo o władzy tej starej.

— Odczep się, ty dziadówko!—woła.

— Daj mi szynkę—mówi czarownica.

— Zwaryowała!—krzyczy hrabina i każe dziewczynom zanieść szynkę do spiżarni.

Oczy stuletniej baby zapłonęły wściekłością i żądzą.

— Daj mi tę brunatną szynkę — woła — lub wbiada ci!

— Raczej wronom ją dam, niż takiej, jak ty!

Wtedy zawrzała gniewem czarownica. Podniosła łaskę z runami i wywijając nią gwałtownie, rzuciła jakieś niezrozumiałe zaklęcia. Włosy jej się zjeżyły, oczy skry ciskały, twarz się wykrzywiła.

— Ciebie samą niech pożrą wrony!—krzyczy.

I odchodzi, mrużąc przekleństwa i wywijając łaskę. Kroki swoje kieruje ku domowi—bo oto córa mroków spełniła swoje zadanie, które ją z gór przywiodło w doliny.

Hrabina Marta stoi na balkonie i śmieje się z jej z ruchów dziwaczných, ale niebawem śmiech zamiera jej na ustach. Bo lecą roje całe! Oczom

wierzyć się nie chce—zda się jej, że śni, a oto nadlatują te wrony, które ją mają pożreć.

Z parku i ogrodu z szumem zlatują tuzinami z wyciągniętymi pazurami i chciwie rozwartymi dziobami, gotowe na nią się rzucić. Lecą z hałasem i wrzaskiem. Czarne i białe skrzydła migają się jej przed oczyma. Nieprzytomna widzi po za temi wszystkie wrony, z całej okolicy zlatujące; widzi niebo całe zasłane czarnymi i białymi skrzydłami. Metaliczne barwy piór połyskują w jaskrawem świetle południowego słońca. Ciąśniejsem, coraz ciąśniejsem kołem otaczają potwory hrabinę, celując w jej twarz pazurami i dziobami. Ucieka do sieni i zamyka drzwi za sobą. Zdyszana słania się na zamknięte drzwi, po za którymi słyszy wrony, jak latają, kracząc.

Odgrodzona więc została od piękności lata, od wszystkich uciech ziemi. Dla niej odtąd nic nie istniało, jeno zamknięte drzwi, zapuszczone stopy, dla niej istnieje tylko rozpacz, trwoga, pomieszanie, graniczące z szaleństwem.

I to opowiadanie może się wydać szaleństwem, mimo to jednak musi być prawdziwe. Żyją setki starych ludzi, którzy tę historję słyszeli i poświadczyc mogą, że tak opiewało podanie.

Ptaki obsiadały dach i balustradę tarasu. Siedziały, jakgdyby czatując tylko na ukazanie się hrabiny, by się na nią rzucić. Zamieszkały w parku i pozostały w nim. Niemożliwe było wypłoszyć je ztąd. Jeżeli się do nich strzelało, tem gorzej, gdyż za jedną zabitą przyleciało dziesięć innych. Niekiedy odlatywały wielkie roje, zda się za żerem, ale zaw-

ze swojego długiego fagotu. Od czasu do czasu zapomni się i zadmie całą siłą płuc, a wtedy patron Juliusz uderza go pałeczką w grubą czaszkę.

Doskonale idzie — wspaniale. Z martwych nut czasem wywołuje samą panią Muzykę. Rozpostrzej swój czarodziejski płaszcz, kochana pani Muzyko, i wprowadź Göstę Berlinga znów w krainę wesela, gdzie zwykł był przebywać!

Więc to rzeczywiście Gösta Berling, ten blady, bez życia człowiek, którego starcy muszą bawić jak dziecko? Smutek zapanuje teraz w Wermlandzie.

Wiecie, dlaczego starzy ludzie go kochali? — wiecie, jak długim może się zdawać zimowy wieczór i jak działa mrok na umysły tych, którzy mieszkają na południu? Wyobraźcież sobie monotony śpiew nabożnych pieśni w kościele.

A wtem nagle zabrzmiał głośny brzęk dzwonek, słychać szybkie kroki, otrzepywanie śniegu z nóg i wchodzi Gösta Berling! On śmieje się i żartuje! On jest życiem, jest ciepłem. Otwiera zaraz fortepian, siada i gra tak, że wszyscy dziwią się, co się stało tym starym strunom. On umie wszystkie pieśni śpiewać, wszystkie melodey wygrać. On rozwelelić umie wszystkich mieszkańców domu. Jemu nigdy nie zimno, nigdy nie czuje się zmęczonym. Smutny zapomina o swoich brakach, gdy na niego spojrzy. A jakie dobre serce miał. Jak umiał współczuć biednym i słabym. A jaki zdolny! Ach! gdybyście mogli byli słyszeć staruszków o nim opowiadających.

Takiego to wieczora naprzykład zajechał do Munkerud, gdzie mieszkał dobry sędzia — do tego

cichego, miluchnego domku, o którym tak mało się tu wspomina, gdyż burze życia nie zdołały zniszczyć jego szczęścia — tu spotkał się z proboszczem z Bro.

Ten ujrzawszy go, natychmiast zasadzał go do fortepianu, mówiąc:—Siądź i graj, wtedy jesteś najpożyteczniejszy.

I Gösta grał i śpiewał, a po chwili nie mogli obecni usiedzieć na miejscu! Starzy, rozsądni ludzie opuszczali swoje miejsca i puszczali się w taniec. Same nogi im skakały. Nie mogli usiedzieć. Tańczyli więc, a gdy Gösta zanucił jakąś pieśń Belmana, zawtórowali mu wszyscy, a żona proboszcza, chociaż taka stara i otyła, nadniósłszy spódnicy, skakała i obracała się w kółko, jak gdyby miała lat dwadzieścia, przyspiewując sobie fałszywym zachrypłym głosem.

Mąż i wszyscy obecni śmiali się z niej serdecznie.

— Ach, ta szelma przy fortepianie potrafi starych ludzi w błaznów zmienić!

Ale teraz siedzi Gösta Berling cichy i smutny; słucha, jak pani Muzyka usiłuje go rozweselić. Może najchętniej wolałby być sam ze swoim smutkiem, lecz ze względu na staruszków musiał słuchać muzyki. Rozumie dobrze, jak im przykro, że on nie jest wesołym, jak dawniej. Nie cieszy ich panowanie na Ekeby od chwili, gdy on się tak zmienił! Zda mu się, że w oczach się starzeją.

A kiedy właśnie najpiękniej grają, on wybuchają płaczem. Całe życie wydaje mu się takie smutne. Przysłania sobie twarz i płacze. Rezydenci urywają. To nie są słodkie, kojące łzy, które zwykła

wywoływać pani Muzyka. On łka, jak zrozpaczony. Nie wiedząc, co robić, odkładają instrumenty.

Wtedy podsuwa im pani Muzyka myśl, aby spróbowali czegoś wesołego i patron Juliusz wydobyla gitarę i zaczyna śpiewać wesołą, biesiadną pieśń. Wykrzywia się, naśladuje krowy i owce.

Ale niedobry miała pomysł pani Muzyka. Gösta zaciśniętą pięścią uderza nagle o stół tak, że Juliusz się przestraszył i rąbie im wręcz, co myśli.

— Chociaż jestem biednym wyrzutkiem, który żyje tylko na to, aby na ludzi nieszczęście sprowadzać — mówi — nie powinniście, wy przynajmniej, sztydzić z mojej boleści. Gdybyście byli lepsi, nie uczynilibyście tego!

Była to niesprawiedliwość. On sam dobrze o tem wiedział, lecz nie mógł zapanować nad sobą. Usiadł zawstydzony. I tamci milczą, bo jakże się tu bronić? Nawet dobra pani Muzyka, którą Gösta Berling tak lubi, niemal straciła odwagę, ale wpadło jej nagle do głowy, że posiada przecież dzielnego rycerza między rezydentami.

Jest to Lövenberg, który stracił narzeczoną, a który teraz jest niewolnikiem Gösty Berlinga, pokorniejszym niż którykolwiek z rezydentów. Przysuwa się on do fortepianu, okręca go niesmiało, maca ostrożnie i miękką dłonią przesuwa po klawiszach.

Na górze, w skrzydle rezydentów posiada Lövenberg duży, drewniany stół, na którym wymalował klawiaturę i przytwierdził pulpit. Przy nim siedzi godzinami i przesuwa palce po białych, i czarnych klawiszach. Na nim ćwiczy się w gamach i etiudach, a na nim wygrywa Beethovena. Pani Muzyka, była na

niego niezwykle łaskawą, tak, że dużo z trzydziestu dwu sonat umiał na pamięć.

Ale dotąd nie odważył się zasiąść do innego instrumentu, tylko do drewnianego stołu.

Strasznie się boi fortepianu. Pociąga go on, ale bardziej jeszcze odstrasza. Głośny instrument, na którym wygrywano tyle polek, jest dla niego świętością. Nie śmiał nigdy dotknąć tego niezwykłego przyrządu o tylu strunach, który dziełom wielkiego mistrza umie nadać życie! On tylko ucho przyłoży i słyszy scherza i andanta, szemrzące w nim. Tak, fortepian to właściwy ołtarz, na którym trzeba składać ofiary pani Muzyce! Ale on nigdy nie grał na fortepianie. On przecież nigdy tak bogaty nie był, aby sobie mógł kupić, a na tym nie chciał grać nigdy. Majorowa też nie radaby mu go otwarła.

Polki, walce, piosenki Belmana słyszał wygrwane — przy takiej muzyce mógł ten piękny instrument wydawać tylko nieczyste dźwięki. Gdy będzie grał Beethovena, wyda z pewnością ton przesliczny, czysty.

Zdaje mu się, że chyba teraz przyszedł jego czas i Beethovena. Odważy się więc, dotknie świętości i swojego władcę i pana rozweseli dźwiękami.

Siada i zaczyna grać. Jest niepewny, zdenerwowany, przegrał kilka taktów, nie może natrafić na właściwy ton, marszczy się, zaczyna nanowo — zakrywa twarz rękami i płacze gorzko.

Ach, dobra pani Muzyka: to straszne dla niego rozczarowanie. Okazuje się, że świętość nie jest świętością. Niema w nim pełnych, czystych tonów, niema głębokiego, potężnego grzmotu, niema huczą-

cego wichru. Nic z nieskończonej harmonii, przenikającej powietrze raju w nim nie pozostało. Jest to stary klekot, nic więcej.

Wtedy pani Muzyka skinęła na mądrego pułkownika. On dobiera sobie do pomocy Rustra i idą do rezydenckiego skrzydła po stół Löwenberga. Masz swój fortepian, zagraj co Göście.

Oschły lzy staruszka, siada i zaczyna swemu młodemu, smutnemu przyjacielowi grać Beethovena. — Teraz się rozweseli — myśli.

W głowie starca brzmią żywe dźwięki. Wierzy, iż i Gösta słyszy, jak on dziś gra ładnie. Teraz pokonał wszystkie trudności. Wykonywa tryle i pasażę z największą łatwością. Tak zagrałby mógł przed samym mistrzem.

Im dłużej gra, tembardziej wzrasta jego zapal. Słyszy każdy pojedynczy ton, dźwięczący z nadziemską siłą.

— Smutku, smutku, dlaczego nie miałbym cię kochać? — gra. — Że twoje wargi zimne są, a lica blade, że twoje uściski duszą, a spojrzenia w kamień zmieniają!

— O smutku, smutku, ty jesteś jako jedna z owych dumnych pięknych kobiet, których miłość zdobyć trudno, ale która płonie mocniej niż miłość wszystkich innych. Ty odrącony, do serca cię swego przytulilem i kochałem cię. Pieściłem cię, póki zimno nie ustąpiło z członków twoich, a miłość twoja napełniła mnie szczęściem.

— Ach, jak ja cierpiałem! Ach jak tęskniłem, straciwszy moją ukochaną! Ciemna noc zapanowała we mnie, ciemno naokół mnie. Leżałem zatopiony

w modlitwie, w długich modlitwach, których nikt nie wysłuchał. Niebo zamknięte było dla mnie. Żaden dobry duch nie spuścił się ze sklepienia niebieskiego, zasianego gwiazdami, aby mnie pocieszyć.

— Ale tęsknota moja rozdarła zasłonę. Tyś nadpłynęła ku mnie po moście z księżycowych promieni. Przyszłaś jaśniejąca, ukochana moja, z uśmiechem na ustach. Wesole duchy towarzyszyły ci — z wieńcami róż na skroniach. Grały na cytrze i na flecie. Rozkosz była patrzeć i słuchać.

— Lecz zniknęłaś! A dla mnie nie było ani mostu, ani promieni księżycowych, po których mógłbym się dostać do ciebie. Na ziemi zostałem bez skrzydeł, w prochu się tarzając. Skarga moja brzmiała niby ryk dzikiego zwierza, jak huczący grzmot niebieski. Chciałem ci przestać błyskawicę w poselstwie. Przeklinałem zieloną ziemię, niechaj ogień strawi jej roślinność, zaraza niech wytepi ludzi! Wzywałem śmierci i otchłani. Zdawało mi się, że męki czyścowe muszą być rozkoszą wobec mojej męki.

Smutku, smutku, wtedy stałeś mi się przyjacielem! Dlaczego nie miałbym cię kochać, jak się kocha te harde, dumne kobiety, których miłość trudno zdobyć, ale która bardziej płonie, niż miłość wszystkich innych kobiet?

Tak grał biedny mistyk. Siedział przed swoim fortepianem, promieniejący natchnieniem, gdy cudowne tony brzmiały mu w uszach, a on wyobrażał sobie, że je i Gösta słyszeć musi, pociechę w nich znajdując.

Gösta zaś siedział i patrzył na niego. W pierw-

szej chwili zgniewała go ta nowa komedia, ale z wolna łagodniał. Nieoceniony był ten stary, gdy siedział i rozkoszował się Beethovenem. Przyszło mu na myśl, że i ten człowiek, obecnie taki łagodny, spokojny, cierpiał, że i on stracił ukochaną. A teraz siedzi przy swoim stole, promieniejąc radością.

Czuł się spokojniejszym. — Gösto — przemówił sam do siebie — czyż nie umiesz już cierpieć? Ty, który zahartowany jesteś w ubóstwie, ty, który wyrosłeś, w kraju, gdzie zima ciężką jest a lato skąpe, czyż straciłeś swą wytrzymałość?

— Ach, Gösto, mężczyzna powinien wszystko, co życie sprowadza, znosić mężnie i z uśmiechem, inaczej nie byłby mężczyzną. Żałuj ile tylko chcesz, straconej kochanki, wyrzekaj się wszelkich przyjemności, niechaj sumienie gryzie ci duszę i dręczy ją, ale bądź mężczyzną, prawdziwym Wermlandczykiem! Niech wzrok twój jaśnieje radością i dla przyjaciół miej wesołe słowa.

Życie jest twarde, natura jest twarda. Tak jedno, jak druga, stworzyły odwagę i radość jako przezwyciężenie swojej twardości, inaczej niktby ich nie miał.

— Odwaga i radość! Zdaje się, że one obie są pierwszymi obowiązkami życia. Dotąd nie zapiekałeś się ich nigdy, a nie wolno ci tego czynić obecnie.

— Czyż jesteś marniejszym od Lövenberga, który siedzi przy swoim drewnianym fortepianie, wśród wszystkich rezydentów, odważnych, swobodnych, niebezpiecznie młodych? Wiesz przecież, że cierpienie żałośnie go z nich nie oszczędziło.

I Gösta zaczyna im się przyglądać. Ach, cóż to za widok! Oto siedzą spokojni, poważni i słuchają muzyki, której nikt nie może słyszeć.

Wtem śmiech wesoły budzi Löwenberga z marzeń. Zdjął ręce z klawiszów i nasłuchuje zachwycony. To śmiech Gösty Berlinga, jego dawny śmiech, dobry, serdeczny, zaraźliwy. To najpiękniejsza muzyka, jaką starzec słyszał w życiu.

— Wiedziałem, że Beethoven cię uleczy, Gösto! — woła. — Chwała Bogu! zdrów nam znów jesteście!

Tak więc dobra pani Muzyka uleczyła melancholię Gösty Berlinga.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



WYCIĄG Z KATALOGU

BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH

Do nabycia w Administracji „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH“ (Warszawa, Warecka № 14), w Filii Kantoru „GAZETY POLSKIEJ“ (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1903.

Tom		CENA	
		w oprawie brosz	kop. kop.
261, 262.	PAMIĘTNIKI PREZYDENTA KRÜGERA. Przekład J. Paszkiewiczówny i A. Morzkowskiej.	80	50
263, 268, 273.	Mikołaj Rey. ŻYWOT CZŁOWIEKA POCZCIWEGO. „Biblioteka pisarzy polskich“ tom I, II i III.	120	75
264, 265, 266.	Paweł Bourget. PO SZCZEBLACH. Powieść.	120	75
267.	Artur Oppman (Or-Ot). POEZYE	40	25
269, 270.	Jenerał de Wet. TRZY LATA WOJNY O NIEPODLEGŁOŚĆ. Przekład M. G.	80	50
271, 272.	Bret Harte. OSTATNIE NOWELLE. Przekład W. Zyndram Kościalkowskiej.	80	50
274, 275.	Bogdan Jaxa Ronikier. PROMIENNA TOŃ. Powieść.	80	50
276, 277.	André-Bellessort. PODRÓŻ DO JAPONII, SPÓŁECZEŃSTWO JAPONSKIE. Przekład J. P.	80	50

Tom		CENA	
		w oprawie	brosz.
		kop.	kop.
278.	Bolesław Biernacki. BIURALISCI. Powieść	40	25
279.	Włodzimierz Trampczyński. ALBANIA I MACEDONIA, KRAJ I LUDZIE.	40	25
280.	M Domańska. CICHĄ MOC. Powieść.	40	25
281.	Jan Kochanowski. DZIEŁA. „Biblioteka pisarzy polskich“ tom I.	40	25
282, 283.	Maurycy Jókai. CZARNA KREW. Powieść, przełożyła B. Jaroszevska.	80	50
284.	NOWELE AMERYKANSKIE. Nagrodzone na konkursach, przekład Emilii Węstawskiej.	25	40
285, 286.	George Sand. OSTATNIA Z ALDINICH. W przekładzie i z przedmową Kazimierza Kaszewskiego.	80	50
287.	Cecylia Walewska. HISTORIA DZIECI. Powieść.	40	25
288.	Aleksander Kielland. KAPITAN WORSE. Powieść, przełożyła Józefa Klemensiewiczowa.	40	25
289.	Ostoja. NAD MORZEM. Nowelle.	40	25
290.	Edmund Bogdanowicz (Nix). PAN ZA GŁOBA I DYOGENES.	40	25
291, 292.	Th. Roosevelt, prezydent Stanów Zjednoczonych. ŻYCIE HODOWCÓW AMERYKAŃSKICH.	80	50
293.	MILIONY. Nowelle żydowskie. Przełożył Jerzy Ohr.	40	25
294, 295.	Edward Rod. DAREMNE WYSIŁKI. Powieść. Tłómaczyła J. P.	80	50
296.	Jan Kochanowski. DZIEŁA. „Biblioteka pisarzy polskich“ Tom II.	40	25
297, 298.	Multatuli. MAKS HAVELAAR. Tłómaczyła Br. Neufeldówna.	80	50
299.	Juliusz Piasecki. WALKA. Powieść.	40	25
300, 301.	Andrzej Bonnefons. SPRZYMIERZENIEC NAPOLEONA, FRYDERYK AUGUST. Przekład Zofii Przyborowskiej.	80	50
302, 303.	Conan Doyle. PIES BASKERVILLE'ÓW. Powieść. Przełożyła Br. Neufeldówna.	80	50
304.	E Gebhart. PRZY DŹWIĘKU DZWONÓW. Legendy. Przekład z francuskiego M. R.	40	25
305, 306.	Antoni Miecznik. CZTERY DNI. Powieść.	80	50
307.	Jerom K. Jerome. DZIENNIK WYCIECZKI DO OBERAMMERGAU. Przekład z angielskiego Emilii Węstawskiej.	40	25

Tom		CENA	
		w oprawie	brosz.
		kop.	kop.
308.	Mikołaj Rej. SPÓLNE NARZEKANIE NA NIEDBAŁOŚĆ NASZĄ. „Biblioteka pisarzy polskich“ Tom IV.	40	25
309.	Karolina Swietła. OSTATNIA PANI GŁOGOWSKA. Powieść. Przekład M. Cz. Przewósckiej.	40	25

Rok 1904.

310, 311, 312, 314, 315, 316.	Z. Kaczkowski. OLBRACHTOWI RYCERZE. Powieść historyczna z przedmową Władysł. Jabłonowskiego.	240	150
313.	Hans Leuss. Z WIĘZIENIA PRUSKIEGO. Z przedmową Włodzimierza Trampczyńskiego.	40	25
317.	T. Roosevelt, prezydent Stanów Zjednoczonych A. P. ŻYCIE WYTEŻONE. W przekładzie i z przedmową Ludwika Włodka.	40	25
318.	Anatol France. HISTORIA KOMICZNA. Powieść. Przekł. Emilii Węstawskiej, z przedmową Wł. Jabłonowskiego.	40	25
319.	Kazimierz Gliński. OBRAZKI Z PRZESZŁOŚCI, z przedmową Henryka Gallego.	40	25
320, 321, 322.	Henryk Brandt. PAMIĘTNIKI OFICERA POLSKIEGO. Przekład M. G., z przedmową prof. Szymona Askenazego.	120	75
323.	Iwan Wazow. WYBOR NOWEL. Przekład Józefy Anc.	40	25
324, 325.	Deotyma. SOBIESKI POD WIEDNIEM.	80	50
326, 327.	Wilhelm Depping. JAPONIA.	80	50
328, 329.	Grazia Deleda. PO ROZWODZIE. Przekład Wili Zyndram-Kościełkowskiej.	80	50
330.	Wiktor Doleżan. MANDŻURYA.	40	25
331.	Jerzy Leueven. H. IBSEN. W tłómaczeniu A. Kordzińskiego z przedmową Władysława Jabłonowskiego.	40	25
332, 333.	PAMIĘTNIK EX-DZIEDZICA z dopiskami ex-pacheiarza, zebrali X. Y. i Y. Z. Powieść.	80	50
334.	Werner Siemens. WSPOMNIENIA Z MEGO ŻYCIA. Spolszczone przez M. S., z przedmową G. Totwińskiego.	40	25

	CENA	
	w opr. brosz. kop.	kop.
335. Fr. von Eeden. MAŁY JANEK. Z przedm. i tłum. F. L. Lubdziecka. Powieść.	40	25
336. Elias Metschnikoff. STUDYA NAD NATURĄ LUDZKĄ. Streścił D-r E. B.	40	25
337. Stanisław Pilecki. HISTORIA UBOGIEJ PANNY. Powieść.	40	25
338, 339. Maurycy Barrés. WYRWANI Z GRUNTU OJCZYSTEGO. Przekład I. P. z przedmową Wł. Jabłonowskiego. Opowieść.	80	50
340, 341. Marya Ratuld-Rakowska. PODROŻ PÓLKI PO PERSYI. Z przedmową T. Jaroszyńskiego.	80	50
342, 343. Maurycy Jókaj. BIAŁA DAMA Z LIWOCZY. Przekład B. Jaroszyńskiej. Powieść.	80	50
344. NOWELLE FRANCUZKIE. Przetłoczyła M. Rakowska.	40	25
345, 346. M. Czerny. DNO LETY. Powieść.	80	50
347, 348. Edmund Demolins. POTEGA WYCHOWANIA. Przekład z francuzkiego.	80	50
349. Jonasz Lie. ULWUNGOWIE. Kartka z księgi namiętności	40	25
350, 351. M. Pawlikowski. BAJKI I OPOWIADANIA	80	50
352, 353. CONRAD (Konrad Korzeniowski). LORD JIM Przekład z angielskiego i przedmowa Emilii Węslawskiej	80	50
354, 355, 356. GABRYELA ZAPÓLSKA. „AGDY W GŁĘB DUSZY WNIKNIEMY“... Powieść współczesna z przedmową Wł. Jabłonowskiego	1.20	75
357. GUY DE MAUPASSANT. NA WODZIE. Przekład Ireny Łopuszańskiej, z przedmową Wł. Jabłonowskiego	40	25
358. EMIL TARDIEU. ZNUDZENIE. Studium psychologiczne w przekładzie z francuskiego i z przedmową Maryana Massoniusa.	1.35	1.20
359. M. A. SZIMACZEK. OBRAZKI Z ŻYCIA. Z czeskiego przetłumaczyła J. Kietlińska-Rudzka	40	25
360, 361. DEOTYMA. POLSKA W PIEŚNI. SOBIESKI POD WIEDNIEM.	80	50

Rok 1905.

Tom	CENA	
	w oprawie brosz. kop.	kop.
362, 363, 364. GABRYELA ZAPÓLSKA. SEZONOWA MŁOŚĆ. Powieść współczesna z przedmową Zdzisława Debieckiego	1.80	1.50
365. Helena Keller. HISTORIA MEGO ŻYCIA. (Autobiografia głuchoniemej). Tłómaczyła M. Pankiewiczówna	40	25
366, 367. G. Flaubert. SALAMMO. Powieść z przedmową W. Jabłonowskiego	80	50
368, 369. T. Jaroszyński. CHIMERA z przedmową Z. Debieckiego	80	50
370. H. Lichtenberger. FR. NIETSCHE i JEGO FILOZOFIA. Tł. i Marcinkowskiej z przedmową Wł. Jabłonowskiego	40	25
371, 372, 373. M. Rodziewiczówna. KLEJNOT, z przedmową H. Gallego	1.20	75
374. W. Marrené Morzkowska. CYGANERYA WARSZAWSKA, z przedm. H. Gallego.	40	25
275, 376. Kenjro Tokutomi. NAMI-KO. Z japońskiego tłómaczylł Sakae Shioya i E. F. Edgett. Z angielskiego przetłoczyła Emilia Węslawska.	80	50
377. Cr Th. Zell. CZY ZWIERZE NIEMA ROZSAĐKU? Spolszczone przez M. S.	40	25
378, 379, 380, 381. Teodor Jeske - Choiński. GASNAĆCE SŁÓNCE. Powieść z czasów Marka Aureliusza	2.60	2.00
382. Booker T. Washington. AUTOBIOGRAFIA MURZY A. Przekład M. G.	40	25
383, 384, 385, 386. Z. Kaczkowski. ROZBITEK. Powieść z przedmową Wł. Jabłonowskiego	2.60	2.00
387, 388. F. de Roberto. ZŁUDZENIA. Przekład z włoskiego oryginału, przez W. E. z przedmową Wł. Jabłonowskiego	80	50
389, 390. A exander Kraushar. DWA SZKICE HISTORYCZNE z czasów Stanisława Augusta	80	50
391, 392, 393. M. Rodziewiczówna. JERYCHONKA - powieść	80	50
394. K. Wagner. PROSTOTA W ŻYCIU	40	25
395. Vincete Blasco Ibanez. RUDERA. Powieść, przetłoczyła z hiszpańskiego Alina Swiderska	40	25

		CENA	
		w opr. brosz.	
		kop.	kop.
395.	Villiam Blake-Odgers. ANGIELSKI SAMORZĄD MIEJSCOWY, Spolszczył Wojciech Szukiewicz	40	25
396.	W Gomulicki. BRYLANTOWA STRZAŁA i inne nowele	40	25
397, 398.	Potr Loti. INDYE. W przekładzie Józefa Jankowskiego	80	50
399, 400.	H. Taine. ŻYWIOT I MYSLI p. F. T. GRAINDORGE, Przełożyli z francuskiego A. K. M., z przedmową Wł. Jabłonowskiego	80	50
401, 402	M. Rodziewiczówna. NA FALLI, powieść	80	50
403.	Roman Plenkiewicz. MIKOŁAJA REYA Z NAGŁOWIC ETYKA. 1505—1905.	40	25
404, 405.	M. Czerny. ODŁOGIEM.	80	50
406, 407, 408.	Selma Lagerlöf. GÖSTA BERLING ze szwedzkiego przełożyła Józefa Klemensiewiczowa	120	75